PISMO INFORMACYJNO-KULTURALNE WSCHODNIEJ BIAŁOSTOCCZYZNY

Czasopis

CENA 1 zł 50 gr ROK VII NR 7-8 (66-67) LIPIEC-SIERPIEŃ 1996

W NUMERZE:

— Atomu brakuje pośrodku, żeby kropnął. Hieroszima — Hieronimowo.

— Tu jest koniec świata — mówi prawie ze łzami w oczach starszy pan. — Ja już po kolacji, ale co z dziećmi? One dopiero obiad jedzą.

Raj utracony

str.4

Przewodniczący, nabrawszy obycia i ogłady politycznej za granicą, coraz gorzej znosił arogancję prezydenta. Zaowocowało to oświadczeniem, że „Łukaszenka jest bardziej totalitarny niż dawni przywódcy ZSRR".

Drugi po prezydencie

str.27

Legenda Włodzimierza Wysockiego jest wciąż żywa. Wielkość artysty potwierdza się na nowo we wzruszeniach, jakie wywołuje jego niezwykły — ostry, drażniący, chrapliwy, czasem przechodzący w krzyk i równocześnie liryczny — miękki, ciepły głos. Twórczość Wysockiego wciąż budzi zainteresowanie i zyskuje coraz ważniejsze miejsce w kulturze.

Legenda wciąż żywa

str.31

LETNICY



str. 25

Czasopis

Pismo Informacyjno-Kulturalne
Wschodniej Białostocczyzny
Ukazuje się co miesiąc

Wydawca
Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich

Adres redakcji
15-001 Białystok, ul. Suraska 1,
skr. poczt. 262
tel. 42-11-05

Redaktor naczelny
Jerzy Chmielewski

Zespół redakcyjny
Wiesław Choruży, Sławomir Iwaniuk, Jerzy Kalina (sekretarz redakcji), Dorota Sulżyk, Jerzy Sulżyk

Stali współpracownicy
Piotr Bajko, Doroteusz Fionik, Andrzej Gawryluk, Helena Głogowska, Mikołaj Hajduk, Sokrat Janowicz, Michał Kondratiuk, Mirosława Łuksza, Sławomir Nazaruk, Jerzy Osiennik, Aleksander Sołowianowicz, Michał Szachowicz, Dorota Wysocka

Kompozycja typograficzna i skład
Jerzy Chmielewski

Druk
Orthdruk, 15-399 Białystok,
ul. Składowa 9, tel. 42-25-17

Prenumerata
Odpowiednio do liczby jednorazowo zamawianych egzemplarzy i okresu prenumeraty należy wpłacić wielokrotność 1,40 zł na rachunek: Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich PBK I/O Białystok 370406-6262-2700-1-74.
Nr indeksu 355035
ISSN 1230-1876

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, zmian tytułów i redagowania nadesłanych tekstów.
Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

Pismo dofinansowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Rzeczypospolitej Polskiej przy współudziale Fundacji im. Stefana Batorego i Fundacji Kultury.

Numer zamknięto 5 lipca 1996 r.

Piewcy prawdy

Miniona epoka, określana umownie czasami socjalizmu, albo częściej po prostu „komuną", coraz bardziej ulega zapomnieniu, przechodzi do historii. Wprawdzie tu i ówdzie pojawiają się próby jej restytucji, ale jak dotąd bezskuteczne. W niektórych krajach byłego obozu socjalistycznego, w tym i w Polsce, władzę sprawują obecnie siły polityczne wywodzące się z dawnych partii komunistycznych. Ale i tam obywatele szybko pozbyli się jakichkolwiek złudzeń, że wrócą stare porządki. Powrotu do przeszłości, jak się wydaje, nie ma. Pokazały to również niedawne wybory prezydenckie w Rosji. Borys Jelcyn skutecznie wystraszył wyborców gotowych oddać swe głosy na komunistę Giennadija Ziuganowa, grożąc powrotem dyktatury, łagrów, reglamentacji towarów i kolejek w sklepach. Taka wizja, przedstawiająca wyłącznie w czarnych barwach świat dziadków i rodziców dzisiejszej młodzieży, jest niesprawiedliwa. Politycy forsujący taki stereotyp zapominają nie tylko o socjalnych dobrodziejstwach socjalizmu, ale nawet o wybitnych osobistościach ze świata kultury, którzy za życia stali się moralnymi autorytetami epoki.

O Włodzimierzu Wysockim ludzie jednak wciąż pamiętają. Nie tylko w Rosji, gdzie żył, ale również w Białorusi, Polsce i wielu innych krajach. Także u nas, na Białostocczyźnie. Artyście, którego rocznica śmierci przypada w lipcu, poświęcony jest tekst Michała Mincewicza „Legenda wciąż żywa". Jak pisze autor — naśladowców Włodzimierza Wysockiego było wielu, ale nikt mu nie dorównał. W latach 80., kiedy artysta już nie żył, każda radziecka republika i każde państwo socjalistyczne miały swoich bardów. Świadomie, bądź nie, wszyscy oni w jakimś stopniu powielali Wysockiego. Inna była już muzyka, teksty stały się bardziej upolitycznione, ale sposób wykonywania się nie zmieniał. W kawiarniach, klubach, często w prywatnych mieszkaniach, w kameralnym nastroju artyści prowadzili monolog ze słuchaczami, śpiewając ballady, w przerwach opowiadali o sobie, dzielili się refleksjami. Tak wyglądały koncerty dobrze zapowiadającego się barda białoruskiego Siarżuka Sokaława-Wojusza (na początku lat 90. wyjechał za granicę, obecnie pracuje w Radiu Swaboda, dziś już tylko pisze wiersze). W takim stylu koncertuje również, znany u nas, Wiktar Szałkiewicz, który jako „obywatel Wielkiego Księstwa Litewskiego" obraża się, gdy porównuje się go z mistrzem Wysockim.

Jak wiadomo, każdy twórca, artysta, ma swój czas w historii. Rzadko się zdarza, aby w zmienionej rzeczywistości popularny poprzednio „piewca prawdy i wolności" miał równie wielkie znaczenie. Jacek Kaczmarski, polski bard lat 80., po 1989 r. wyjechał z kraju, gdyż nie miał już kogo i czego bronić, wspierać duchowo swymi piosenkami. Nie zgodzą się z tym pewnie bohaterowie reportażu Doroty Sulżyk pt. „Raj utracony", dla których obecne czasy stały się o wiele trudniejsze niż te przed rokiem 1989. Okazuje się, że i oni, szczególnie ci młodsi, mają swoją muzykę — piosenki disco polo. Nie mają one jednak nic wspólnego z elitarną — jak się w Polsce okazuje — piosenką autorską. Mieszkańcy wsi Hieronimowo k. Michałowa — bohaterowie wspomnianego reportażu — o Włodzimierzu Wysockim pewnie w ogóle nie słyszeli. A szkoda.

Jerzy Chmielewski



Żniwa w Bobrownikach (sierpień 1995 r.) **Fot. J. Osiennik**

OPINIE

■ *Самае галоўнае тое, што пратэстуючы супраць нашага з Вячаславам Сіўчыкам арышту, простыя людзі, вядомыя дзеячы, міжнародная грамадскасць у першыню далі адпор бязглуздай, абсалютна пазбаўленай усялякай логікі і чалавечага пачуцця ўладзе, якая пануе цяпер у нашай краіне. Калі побач з будынкам турмы праходзіла масавая акцыя, то ўся ахова ізалятара была прыведзена ў поўную баявую гатоўнасць, баючыся, што людзі пачнуць штурмаваць турму.*

Юры Хадыка, дзеяч Беларускага Народнага Фронту „Адраджэньне" пасля 23-дзённай галадоўкі, „Свабода", 24 траўня 1996 г.

■ *— Многія аналітыкі прагназіруюць на восень чарговую хвалю пратэсту, выкліканую ўжо не толькі грамадзянскай апазіцыяй, але рабочым рухам у выніку моцнага пагаршэння эканамічнай сітуацыі. Людзі, вярнуўшыся з летніх і вымушаных водпускаў і не атрымаўшы работы, выйдуць на вуліцы. Які ваш прагноз на конт гэтага?*

— Пакуль што ў эканоміцы зрухаў у лепшы бок не назіраецца, таму падставы да такіх думак ёсць. Людзі паступова будуць губляць цярпенне, і шэрагі выйшаўшых на вуліцы з пратэстам з кожным разам будуць павялічвацца. Улада ў сваю чаргу павінна зразумець, што пакуль рэцэптаў для паляпшэння становішча няма, таму трэба быць вялікімі і мудрымі палітыкамі, каб не давесці выказванні пратэсту да фізічных сутыкненняў. Трэба быць гатовым, што колькасць мітынгаў будзе павялічвацца. У гэтых абставінах галоўнае, каб мітынгі мітынгамі і заставаліся, а не ператвараліся ў масавыя сутыкненні, бойкі і расправы.

Сямён Домаш, член прэзідыума Вярхоўнага Савета РБ, у размове з журналістам „Звязды", 7 чэрвеня 1996 г.

■ *Pomimo wszystkich trudności sytuacja na Białorusi pozostaje stabilna i przewidywalna.*

Borys Pastuchow, wiceminister spraw zagranicznych Rosji, „Gazeta Wyborcza", 7 czerwca 1996 r.

■ *Największym kłopotem w handlowaniu ze Wschodem jest to, że pieniądze trafiaja do nas za pośrednictwem banków amerykańskich i cypryjskich, mimo że np. z Grodna do Białegostoku jest 70 kilometrów.*

Zenon Puciaty, dyrektor ds. ekonomicznych zakładów mięsnych w Białymstoku

■ *Sporo jest przesady w traktowaniu mniejszości narodowych jako pomostu między sąsiednimi państwami. Jeżeli Białorusini mieszkający na Białostocczyźnie mają własne zdanie na temat tego, co dzieje się na Białorusi, należy to uszanować.*

Jerzy Bisiak, dyrektor Biura do spraw Kultury Mniejszości Narodowych Ministerstwa Kultury i Sztuki, „Gazeta w Białymstoku", 10 czerwca 1996 r.

■ *Wielu znajomych pytało mnie, dlaczego lider BNF, Zianon Paźniak, odwiedzając liczne miasta w Polsce, tak długo nie pojawia się na Białostocczyźnie. Odpowiedziałem, że już dawno prawosławni w Polsce zrozumieli prawdziwy stosunek tej organizacji do ich wiary.*

Eugeniusz Czykwin, „Przegląd Prawosławny", czerwiec 1996 r.

■ *Duże znaczenie dla postaw mniejszości białoruskiej ma to, co się dzieje w Republice Białoruś. Są oni jednak na tyle liczną i prężną grupą, że bezpośrednio zwracają się z problemami do rządu i posłów, pomijając moją osobę, chociaż dobrze wiedzą o moim istnieniu. Co do Ukraińców — odnoszę wrażenie, że jestem im bardzo potrzebny. Oni wręcz zabiegają o moją pomoc w miarę jak rozwija się świadomość narodowa.*

Sławomir Halicki, pełnomocnik wojewody białostockiego ds. mniejszości narodowych, „Obiektyw. Tygodnik Białostocki", 19 czerwca 1996 r.

■ *— Nigdy nie płaciłem żadnym politykom pieniędzy przed żadnymi wyborami i nigdy nie będę tego robił. Chyba że kiedyś uznam, że trzeba na kogoś postawić.*

Sergiusz Martyniuk, dyrektor spółki „Pronar" z Narwi, „Kurier Poranny", 20 czerwca 1996 r.

■ *Czy obiekty podlegające przekazaniu gminom żydowskim znajdują się w naszym regionie?*

— Tak, przykładem jest choćby synagoga w Orli, i gdyby któraś z gmin żydowskich czy Związek Wyznaniowy Gmin Żydowskich zwrócił się o to, urzędy rejonowe zarządzające tymi obiektami w imieniu wojewody mogłyby je bez zwłoki przekazać.

Antoni Oleksicki, wojewódzki konserwator zabytków, w rozmowie z dziennikarzem „Kuriera Porannego", 20 czerwca 1996 r.

Zdjęcie na okładce: Osiedle domków letniskowych w Królowym Moście
Fot. Jerzy Osiennik

Dorota Sulżyk

Raj utracony



PRZEDWCZORAJ. Upalnego lipcowego dnia 1939 r. baronowa Olga Ramm mogła siedzieć w chłodnej bibliotece przy marmurowym kominku — jednym z wielu pięknego pałacu w Hieronimowie — i zerkać na portret dawnego właściciela jej obecnych dóbr — Kazimierza Dziekońskiego. Do czasów młodości tego przystojnego generała musielibyśmy się cofnąć w pierwszą połowę XIX wieku, kiedy to w folwarku, jeszcze do niedawna należącym do Radziwiłłów, postanowił wybudować modny pałac w stylu późnoklasycznym i założyć tarasowy ogród. Baronowa jeszcze nie wie, że za trzy miesiące władze radzieckie zmuszą ją i jej synów do wyjazdu do Niemiec. Nigdy tu już nie powróci. Zresztą nie będzie miała do czego. Pałac spłonie w 1943.

Do pięknego „zamku" weszła właśnie mała dziewczynka Romańczuków z naręczem kwiatów dla „Pani". Nieśmiałej istotce, jak zwykle, musiała dodawać odwagi pokojówka, Julia Kozikowska. Kilkuletnia Romańczukówna wybiegła nareszcie z ulgą i zadowoleniem. Zatrzymała się dopiero przy dużym okrągłym klombie i zaczęła wsłuchiwać się w odgłosy pracowitego dnia w folwarku — głosy młyna parowego, krochmalni, gorzelni, browaru...Gdzie może być teraz jej ojciec (rocznik 1890, tu urodzony)? Znając jego liczne funkcje — pisarz, magazynier, pracował w mleczarni, przy oborze — można spodziewać się go w wielu miejscach...

Babcia Kozikowska zmarła dwa lata temu. Pani Zięciakowa pamięta jak babcia Julia wychwalała baronową. Że była taka dobra, że jak któryś z pracowników zachorował, to „Pani" odwiedzała go nie zapominając nigdy o drobnym upominku. Nic dziwnego, Rammowie dbali o dobre imię Hieronimowa.

W lipcu 1996 r. dawna dziewczynka Romańczuków to schorowana starsza pani Buzunowska, która od trzech lat stara się odzyskać swój wkład z banku w Michałowie, a pieniądze są jej niezmiernie potrzebne, ponieważ wysyłają ją do szpitala. Przydałby się też remont mieszkania w „baraku", który jest już prawie ruiną. — A jak tatuś był pisarzem, to mnie tylko ptasiego mleka brakowało — wspomina.

WCZORAJ. W lipcowy poranek 1972 r. Stanisław Zięciak wyszedł jak co dzień z dawnej oficyny dworskiej (poł. XIX w.), w której wraz z rodziną (licznym rodzeństwem i rodzicami) zajmował od niedawna jedno z mieszkań. („Ściągnęli" ich z Suwalskiego, bo ojciec był kowalem, a akurat potrzebowano kogoś z tym zawodem. Od razu dostali największe mieszkanie, bo przywieźli ze sobą sześć par rąk do pracy). On — mistrz upraw polowych poczuł się jak w fabryce w mieście. Huki, stuki... Ciągniki na gąsienicach, 20 kombajnów wyjeżdżało do żniw, kolejka do CPN-u. Echo po dawnych dobrach Radziwiłłów, Dziekońskich, Rammów szło takie, jak na bębnach granie. Wieczorem wpadnie do klubu na kawę. Towarzystwo miłe i klubowa taka sympatyczna.

— Kiedyś, w PGR Hieronimowo, jak robota była, nie mieli my ni świąt, ni niedziel, na okrągło robota. I było lepiej niż w mieście. Człowiek pracował, miał pieniądze, wieczorem wychodził do klubu. Czas jakoś fajnie leciał. A teraz tu cicho. Jak rano wyjdziesz, to nie wiesz, czy sobota, czy niedziela — zwierza się lipcowego dnia 96 r. pan Stanisław Zięciak.

DZIŚ. W lipcowe południe 1996 r. w Hieronimowie cisza. Przy wejściu do hieronimowskiej „posiadłości", po prawej stronie brukowanej drogi, nastrój i obrazek jak w balladach Adama Mickiewicza. Staw, zabytkowy dworski park. Zza dorodnych drzew wyłaniają się tajemnicze ruiny pałacu. Murowana oficyna dworska. Trochę dalej pomnik — krzyż upamiętniający śmierć generała K. Dziekońskiego (taki sam od prawie 150 lat). A to wszystko owiane ciszą i burzowymi chmurami. Ten romantyczny widok kłóci się z „księżycowym pejzażem", z obrazem po lewej i z naprze-



Czy te ruiny odwiedza czasem duch baronowej Olgi Ramm?

ciwka. Całe mnóstwo gospodarczych budynków pegeerowskich. Dalej 3 bloki plus 2 „kikuty" bloków (zdewastowane budynki, niedokończone z powodu urwanej PGR-owskiej świetności). I jeszcze kilka betonowych budynków. Na tym tle dwie dziewczynki z czerwonym wózkiem, spacerujące tam i z powrotem. Najpierw idą po bruku, potem bruk się urywa. — Jak PGR się skończył, ktoś zabrał kamienie i powiózł na Bondary — słowa pana Zięciaka. To już na pewno nie należy do tła Mickiewiczowskich ballad. Przypomina raczej orwellowską rzeczywistość.

Z czym się będą kojarzyły lipcowe dni w Hieronimowie lat 90. dwóm dziewczynkom z czerwonym wózkiem?

PGR się rozpada, idziecie na kuroniówki

To wczoraj będzie się często przewijało w rozmowach w ciepłym, trochę burzowym lipcowym dniu 1996 roku w Hieronimowie. Bo „wczoraj" i „przedwczoraj" to raj, ptasie mleko, Ameryka, itp., a dzisiaj — „Hieroszima". I tak mieszkańcom Hieronimowa nazwa ich wsi nie kojarzy się z Hieronimem Radziwiłłem (właścicielem folwarku na przełomie XVIII i XIX w.), ale z ponurą przeszłością japońskiego miasta. — Atomu brakuje, żeby kropnął — jak powie łzawym żartem starszy pan.

Kilka dziesiątków lat temu przyjechali tu „za chlebem". Kiedy pytam, skąd są, jedna z pań odpowiada, że prawie każdy przyjechał do PGR-u z innych stron Polski. I tak, pani sołtys z Knyszyna, jej mąż z Suwalskiego, pani wychodząca z bloku z Olecka, pan w kapeluszu z Łomży, pani starsza tu się urodziła, ale rodzice przyjechali przed wojną (do folwarku) z Kielc i Wysokiego Mazowieckiego, babcia siedząca przed „barakiem" wróciła w swoje rodzinne strony z PGR-u na zachodzie Polski i niejeden z nich pewnie zadaje sobie takie pytanie jak pan Zięciak: — Czego nas tu ojciec przywiózł, to ja nie wiem. Tam (w dawnym PGR-ze w Suwalskiem) wokół jeziora. Przynajmniej rybę można łapać i jeść całymi dniami. A tu?

Zrośnięci z PGR-em od dzieciństwa, z wielkim trudem radzą sobie bez niego. Od czasu, kiedy w 1993 r. PGR w Hieronimowie poszedł w „odstawkę", zmagają się z bezrobociem.

PGR Hieronimowo przestał istnieć z końcem 1993 roku zgodnie z ustawą sejmową o upadłości PGR-ów. W drodze przetargu dzierżawcą prawie całości dóbr Hieronimowo został Stanisław Szczepańczuk z Torunia. — Przejął puste budynki inwentarskie, trochę prosiąt i sto procent odłogów. Dziś pod pługiem ma 1100 hektarów, a na nich buraki cukrowe, ziemniaki, żyto i pszenicę. Ziemia w dużej części to klasa trzecia i czwarta. Na stałe zatrudnia osiem osób, w szczytach sezonowej pracy piętnaście, siedemnaście — jak się dowiaduję od pana Garbaczewskiego, byłego dyrektora tutejszego PGR-u, zarządzającego dziś prywatnym gospodarstwem w Hieronimowie. A więc zaledwie garstka pracowników trafiła do pracy u pana Szczepańczuka.

A jak wygląda ta gorzka, dawna chwila z punktu widzenia pegeerowców? — Powiedziano nam, że PGR się rozpada, idziecie na kuroniówki. Nikt nam nie podpowiedział, co mamy zrobić, ani radni, ani wójt. Jak rozwiązywali PGR, kilku z nas chciało kupić po pięć hektarów ziemi. Pisaliśmy wszędzie, nawet do Warszawy. To odpisano nam, że musimy wziąć całe poletko — sto hektarów. Chcieli my oborę wydzierżawić, to dosolili nam miliard. Innym było łatwiej. A my jak zajdziem — to dla nas szlaban zamknięty. Po prostu ludzie byli nieświadomi, nie miał nas kto poinformować. Żądano od nas pieniędzy, a nikt z nas ich nie miał. Byliśmy bezradni, a żeby poradzić się adwokata, trzeba było dużo zapłacić — przypomina z oburzeniem w głosie pan Zięciak. I dodaje jeszcze, że jak był przetarg, lepsze rzeczy wykupiono w Michałowie, a do nich przywieziono połamane krzesła i wersalki. — Państwo źle zrobiło, rozwiązano PGR-y i nie pomyślano o ludziach, a trzeba było najpierw pomyśleć o ludziach... — dodaje smutno pani sołtys.

Ludzie na księżycu

O swojej sytuacji mówią odważnie, bez strachu przed moim dyktafonem. Pan w kapeluszu, w średnim wieku, zaprasza mnie na niewielką ławeczkę przy przyblokowych budynkach gospodarczych. (Za nami gdakanie kur). I tworzy klub hieronimowskich dyskutantów. — Niech każdy wypowie swoje zdanie. Pani starsza, idzie tu do nas — zaprasza. I sam zaczyna: — Takie tu ubóstwo, że strach pomyśleć. Niezadbane wszystko. Dzieci chodzą, rozbijają. Nie mają gdzie się bawić.

I tu już posypał się grad gorzkich spostrzeżeń mieszkańców Hieronimowa.

— Tu, żeby tym naszym dzieciakom chociaż jakieś warunki stworzyć.

— Hieronimowo jest deskami zabite. Ni pociągów, ni autobusów.

— Ten sponsor (tak wszyscy nazywają tu dzierżawcę — pana Szczepaniuka) może tu i kiedyś coś zdziała, ale ja wątpię.

— To z czasem. Może za rok, dwa.

— Wałęsa zostawił nas na lodzie.

— Kiedyś tu fajnie było — zabawy, klub. A teraz usiąść na ławkę i płakać.

— Ot, posiadają na ławkach, a zresztą, już coraz mniej na ławkach, bo nie ma o czym gadać. Bieda, bieda, bieda...

— Jak PGR był, to my jak w Ameryce żyli, lepiej nie trzeba było. Dzisiaj ludzie bez chleba siedzą, ot porobili, k..wa ich mać, biedę ludziom porobili. Weź wyrób na dzieci, jak masz pięcioro. A tu wszyscy z rodzinami wielodzietnymi. Rozkosz to? I pracy nie mam.

— Całe szczęście, że mamy dobrego właściciela sklepu. Sprzedaje na kreskę. Bo inaczej...

— Wójta nie obchodzi, co my tu robim.

— Chyba u nas najgorzej w porównaniu z innymi PGR-ami. Jak zawieje zimą, to ani do Boga, ani do ludzi.

— Same nieszczęścia. Drzewo sześcioletnie dziecko niedawno przed blokiem zabiło, bo nie pozwolili wcześniej ściąć.

— O, krajobraz nasz księżycowy — ktoś dorzuca i pokazuje „ruiny" niewykończonych bloków.

— Oglądała pani „Trójkąt" w telewizji? To i mało brakuje u nas tego samego.

Oglądałam — wstrząsający obraz dzielnicy ubóstwa we Wrocławiu.

— Atomu brakuje pośrodku, żeby kropnął. Hieroszima — Hieronimowo.

— Tu jest koniec świata — mówi prawie ze łzami w oczach starszy pan. — Ja już po kolacji, ale co z dziećmi? One dopiero obiad jedzą.

Bez grusz i jabłoni

Co ich łączy? Te czterdzieści cztery rodziny? Miejsce, pięć arów ziemi dla każdej rodziny, pegeerowska przeszłość, czasem nazwiska, powinowactwa, bo jak powiedziała pani sołtys: „Zrobiło się w tym PGR wszystko pokrewieństwo". Nastąpiła naturalna wymiana we własnym kręgu. Jest jeszcze bieda, wspólna, ale jednak dzieli. — Ludzie żyją jak pies z kotem. Każdy chce pracować. Kiedyś każdy był zadowolony — powiedziała jedna z pań. A inna dodaje: — Jak wszyscy pracowali w PGR, to grupa była zwarta. Teraz porobiły się podziały. Ludzie stali się bardziej nerwowi.

Wspólne dla nich jest to, na co codziennie patrzą z okien. Hieronimowo. Wieś to, czy nie wieś? Wygląd ma zupełnie inny niż pobliska Nowa Wola, Topolany, czy Mościska. Brak charakterystycznego dla białostockiej wsi budulca — drewna. Jest kilka szeregowych baraków, ale i te nie mają wiejskiego charakteru. Dużo za to miejskiego elementu — szarego betonu. A to wszystko należy póki co do Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa, oprócz gminnej świetlicy.

Tylko jedna krowa u ciotki Grażyny, konia żadnego. Mleko kupują u Miszki — gospodarza, który mieszka na kolonii. Miszka ma też konia, który jest czasem przydatny przy działkach pięcioarowych.

Hieronimowo to jednak chyba wieś. Bo od roku ma pierwszego w swojej historii sołtysa.

Bez gołębi

— Dlaczego akurat mnie wybrali na sołtysa? — śmieje się pani Zofia Zięciakowa. — Chyba się przyzwyczaili, że jak z papierami, to do mnie. — Przychodzą do niej z prośbą o napisanie podania, wypełnienie PIT-ów. Drugim kandydatem na sołtysa był jej mąż, ale przegrał trzema głosami.

Właśnie oboje wrócili z lasu. Grzybobranie słabe, bo grzybnia poniszczona, ludzie wydzierają ją razem ze ściółką. — Trzeba z czegoś żyć — kwituje pani Zięciakowa. W trzypokojowym mieszkaniu gnieździ się dziewięcioosobowa rodzina Zięciaków. Dałoby się wytrzymać ciasnotę, gdyby jeszcze nie trzeba było zmagać się z bezrobociem. Pan Stanisław na kuroniówce, pani Zofii skończył się już ten luksus. Pan Zięciak mówi, że osiwiał jak poszedł na pierwszą kuroniówkę po rozwiązanym PGR. Miał w nim za sobą 29 lat pracy. Potem była praca w fabryce w Michałowie, ale i ją rozwiązali. I znów kuroniówka. Jeśli jest jakieś miejsce zarobku w Michałowie, to zanim oni — hieronimowianie, się dowiedzą, jest już za późno. Pani Zofia pociesza się tym, że latem życie jest tu trochę łatwiejsze. Dużo osób od nich jeździło do sadzenia lasu, można iść do rolnika. Pan Stanisław jeździ pomagać gospodarzowi przy sianie.

Cieszą się, że przez krótki okres sołtysowania pani Zofii udało im się załatwić kilka spraw. — Trzy postulaty my załatwili. Telefon, klub i coś do klubu. O ten klub to my walczyli rok czasu, bo był zamknięty. A lekarz przez ten czas to u mnie przyjmował. Teraz przyjmuje raz w tygodniu w klubie — dumnie mówi pan Zięciak. A teraz walczą o najważniejsze — autobus. Pisali już wszędzie. Przyjeżdżała już nawet komisja, badała. I nic. Chwalą swego radnego, który chce im w tym pomóc, ale on też jest bezradny. We wsi są tylko dwa samochody, a i tych nie ma na miejscu w ciągu dnia. — A jak dziecko zachoruje, to czym powiozę? — zadaje retoryczne pytanie pani Zofia.

Marzenie rodziny Zięciaków — kupić w lasku domek. On lubi ziemię, a ona las. Pan Stanisław nawet oglądał niedawno pewien domek. Niedrogi (siedem milionów), ale bardzo niski, nawet meble by się nie zmieściły. Znowu mógłby mieć gołębie. Nie ma już swoich berlinków, wydymków, szaryków... Bo gołębie trzeba nakarmić. Jak są głodne, uciekają od gospodarza. Za czasów pegeerowskich uprawiał 40 arów, to miał swoją pszenicę i rzepak, ale zabrano mu je w 1993 r. Cały PGR hodował gołębie, jak się wszystkie zleciały, to czarna chmara wisiała nad wsią. Dziś został może jeden zapaleniec. Pokazuje przez okno swój gołębnik. Pusty. („A te gołębie to mi się po nocach śnią").

Tańcz, królowo dyskoteki

Monika, siedząc na blokowej ławeczce, liczy dzieci i młodzież w Hieronimowie: — Sławek, Piotruś, Iwonka, Karolina, Emil, Rafał... Tu pięciu, tam czterech... Aha, jeszcze Andżelika z Kazachstanu. Coś około sześćdziesiątki. To niemało jak na białostocką wieś. Dodać trzeba, że wszyscy są przez cały rok w domu, bo uczą się w pobliskim Michałowie — dzieci w podstawówce, młodzież przeważnie w zawodówkach.

— Co pani chce zdziałać? Napisać? Przeczytają i zapomną — z ironią i smutkiem twierdzi chłopak, który niedawno wyszedł z wojska. Ile razy już to słyszałam. Kiedyś w Mostowlanach, Jałówce...

Na pytanie, co robią na wakacjach odpowiadają: „nudzimy się". Potem cisza i leniwie padają wyjaśnienia. Organizują ogniska, czasem, jak im się zechce. Organizują mecze, na które zapraszają Folwarki, Nową Wolę. Mają nawet niebieski maszt. Chyba najbardziej lubią staw i chociaż jest brudny, niejeden lubi tam się wykąpać. Niektórzy chłopcy pracują. — Ej, gdzie oni tę pokrzywę koszą? — pyta Monika. Ktoś odpowiada, że niedaleko Odrynek. — Zespół mamy discopolowy „Roksana" — wykrzykuje ktoś dumnie — Chce pani posłuchać jak gra zespół „Roksana"? Po chwili pojawia się klucz do klubu i dwóch muzykantów z zespołu. Grupka ciekawskich małolatów rozrasta się na wieść o tym, że za chwilę „Roksana" — chluba Hieronimowa — zagra swoje najlepsze kawałki. W drodze do klubu dowiaduję się, że na innym osiedlu (po prostu w innych blokach) jest kilku metalowców i jeden punk. Ale oni, discopolowcy, są zdecydowanie większością. — Pankowi kazałem nauczyć się piosenki zespołu „Milano", jak się nie nauczy, to go oskalpuję — mówi do mnie jeden chłopaczek

W klubie kilka włączeń i podłączeń syntezatorów i można zaczynać. Przed repertuarem jeszcze informacja, że próby mają co drugi dzień i że nigdy nie brak im hieronimowskiej publiki, co zresztą widać. Raz, dwa, trzy... „Tańcz, tańcz, królowo dyskoteki..., tańcz, disco polo gram...", „Polskie dziewczyny zna je każdy z nas...", itd. — Napisze pani, że szukamy używanego sprzętu — syntezatorów — prosi mnie zespół „Roksana". — I jeszcze, żeby przyjeżdżali w piłkę z nami grać.

— Ty uciekaj stamtąd, tam nie ma warunków do życia, musisz stamtąd uciec — tak powiedziała pani z Urzędu Pracy do mego syna. Jak ja tak na tych młodych patrzę, to mi się wydaje, że oni się trochę boją stąd uciec. A młodzi chłopcy nie mają tu żadnych perspektyw. I oni będą się chwytać ciężkiej pracy w lesie, potem kuroniówek.

Słowa pani sołtys przekonują, że coś ich tam wszystkich trzyma, więzi. Jakaś siła. Nikt stamtąd nie wyjeżdża. Może mają nadzieję, że raj utracony powróci.

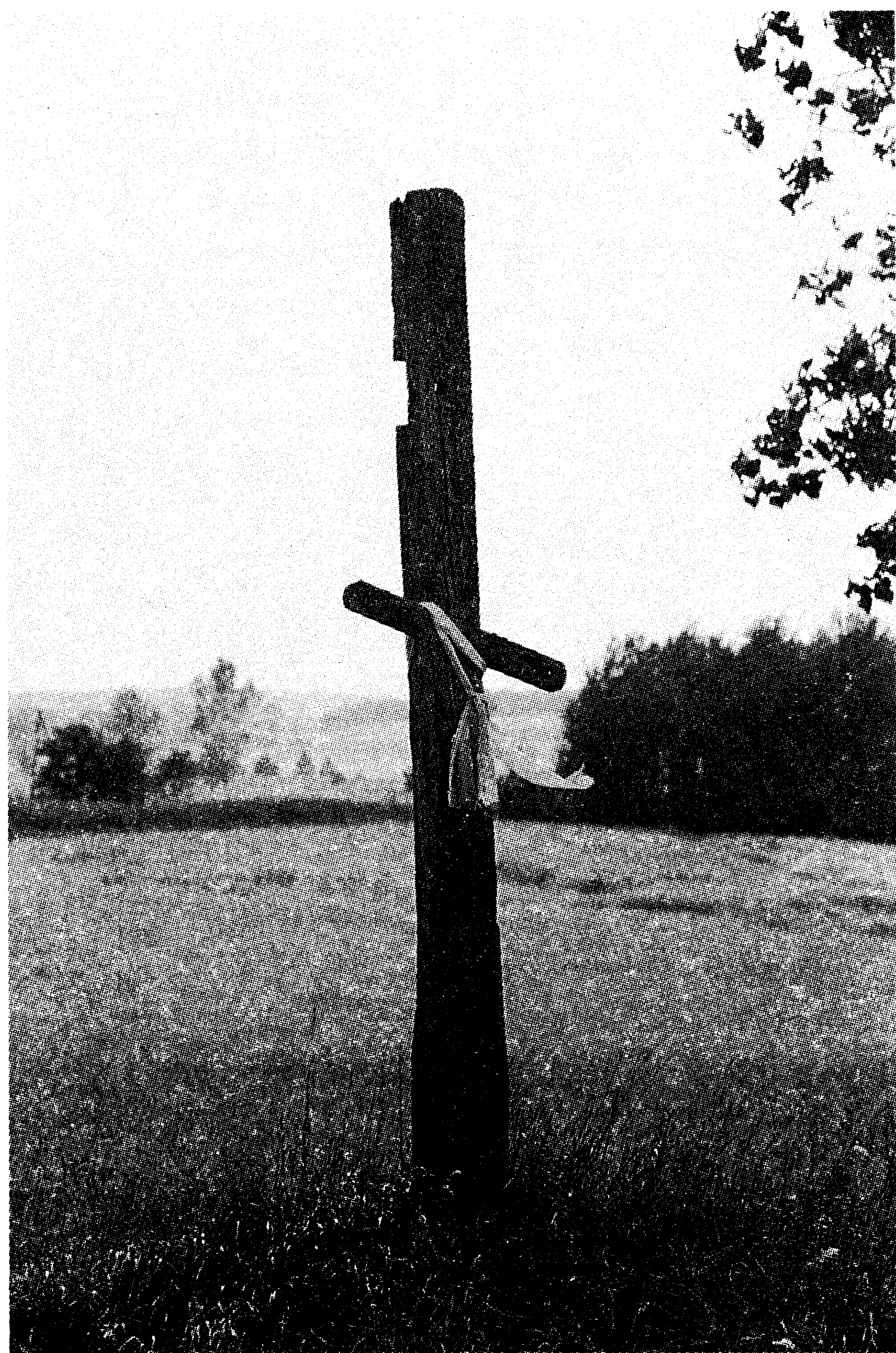
***

Zapomniałam zapytać, czy w ruinach pałacu straszy. Może wraca tam czasem baronowa Olga Ramm. Może patrzy akurat na dwie dziewczynki spacerujące z czerwonym wózkiem. Z czym im się będą kojarzyły lipcowe dni w Hieronimowie lat dziewięćdziesiątych? Z kuroniówkami, które lada dzień mają się skończyć rodzicom, z zakupami na kreskę, z ciągłymi narzekaniami starszych, z marzeniami o wyjeździe do Warszawy, na który nie ma „kasy", ze słowami popularnej piosenki disco polo: „Tańcz, tańcz królowo dyskoteki". Może wyobrażają sobie królową dyskoteki. Ich bujna wyobraźnia tworzy ją, krzyżując księżniczki z dobranocek z dziewczynami z teledysków discopolowych. Czy ta królowa jest trochę podobna do Olgi Ramm?

Dorota Sulżyk

Fot. Jerzy Sulżyk

ЛІПЕНЬ



Летні краявід каля вёскі Свіслачаны **Фота Юркі Асенніка**

...гадоў таму

835 — У 1161 г. полацкі мастак Лазар Богша па заказу святой падзвіжніцы Еўфрасінні Полацкай стварыў славуты напрастольны крыж (загінуў падчас апошняй вайны).

400 — У Вільні беларускі царкоўны дзеяч і педагог Лаўрэнцій Зізаній (сапраўднае прозвішча Тустаноўскі) выдаў „Граматіку словенска свершеннаго искуства осмы частий слова...” ў пытаннях і адказах на царкоўнаславянскай і беларускай мовах — адзін з першых падручнікаў на Беларусі.

200 — 7.07.1796 г. нар. Ян Чачот (пам. 23.08.1847 г.), польска-беларускі паэт, фальклярыст, сябра А. Міцкевіча, 10 гадоў адпакутаваў у ссылцы, напісаў некалькі беларускамоўных вершаў, 10 балад на польскай мове, заснаваных на беларускім фальклоры, сабраў і выдаў каля 1000 беларускіх народных песень (1837-1846) на беларускай і ў перакладзе на польскую мову.

145 — 6.07.1851 г. нар. Янка Лучына (сапраўднае прозвішча Неслухоўскі, пам. 16.07.1897 г.), паэт, друкаваўся з 1886 г., пісаў па-беларуску, парасійску і па-польску, зборнікі вершаў „Poezje” (1898) і „Вязанка” (1903).

120 — 15.07.1876 г. нар. Цётка (сапраўднае прозвішча Алаіза Пашкевіч, пам. 18.02.1916 г.), дзеячка сацыял-дэмакратычнага руху, паэтэса, адна з заснавальнікаў партыі Беларуская сацыялістычная грамада, член яе Цэнтральнага камітэта, рэдактар першага дзіцячага часопіса на беларускай мове „Лучынка” (1914), зборнікі рэвалюцыйных, глыбока патрыятычных вершаў „Хрэст на свабоду”, „Скрыпка беларуская” (1906), апавяданні, артыкулы, лістоўкі-заклікі, склала „Лемантар” і „Першае чытанне для дзетак-беларусаў”.

105 — 14.07.1891 г. нар. Пётр Бузук (загінуў у ГУЛагу 7.10.1943 г.), мовазнавец, дзеяч беларускай навукі ў гадах 1921-1933, прафесар, дырэктар Інстытута мовазнаўства Беларускай акадэміі навук, працы: „Становішча беларускай мовы сярод іншых славянскіх моваў” (1927), „Узаемаадносіны паміж беларускай і ўкраінскай мовамі” (1926), „Спроба лінгвістычнай геаграфіі Беларусі” (1928) і інш.

100 — 26.07.1896 г. нар. Уладзімір Варава (загінуў ад кулі тэрарыста 4.05.1929 г.), пісьменнік, таленавіты фельетаніст, друкаваўся з 1928 г., фельетоны, апавяданні, эсэ, замалёўкі.

— 1896 г. нар. Дзмітрый Прышчэпаў, міністр земляробства Беларусі (1924-1929), пашыральнік фермерскай гаспадаркі: моцных і заможных хутароў. Бальшавікі замучылі яго ў 1940 г. у мінскай турме.

70 — 24.07. 1926 г. нар. Вольга Царашчатава (пам. у 1993 г.), мастацтвазнавец. Кнігі: „Беларуская кніжная графіка” (1978), „Старажытнабеларускі манументальны жывапіс” (1986), адзін з саўтараў 6-тамовай „Гісторыі беларускага мастацтва”. Многа ўвагі прысвяціла супрасльскай Благавешчанскай царкве.

60 — 6.07.1936 г. нар. Уладзімір Гардзеенка, жывапісец, педагог, у выстаўках удзельнічае з 1964 г., аформіў шэраг беларускіх тэатральных спектакляў, карціны: „Краявіды Міншчыны”, „Слова пра Беларусь” (1983), партрэты гістарычных постацей.

— 22.07.1936 г. нар. Вячаслаў Чамярыцкі, літаратуразнавец і знакаміты гісторык, сааўтар „Гісторыі беларускай дакастрычніцкай літаратуры” (1968), „Гісторыі беларускай літаратуры” і „Гісторыі сусветнай літаратуры” (1985), аўтар даследавання „Францыск Скарына” (1979) — выйшла на некалькіх мовах, соцень артыкулаў у розных беларускіх энцыклапедыях, даведніках, часопісах і газетах. Выступаў на сімпозіуме ў Супраслі ў 1993 г.

45 — 1951 г. З гэтага года ў БССР было дазволена школьнікам не вывучаць родную беларускую мову — працяг узмоцненага праследавання беларушчыны ў Беларусі.

40 — 1956 г. Пачало дзейнасць Беларускае тэлебачанне.

6 — 27.07.1990 г. новаабраны Вярхоўны Савет БССР прыняў „Дэкларацыю аб дзяржаўным суверэнітэце БССР” — пачатковы акт у адраджэнні самастойнай Рэспублікі Беларусь. **(мг)**

ЖНІВЕНЬ



У жніўні штогод Зьвяз Беларускай Моладзі ладзіць рэйд „Сьцяна" Фота Юркі Асенніка

■ ...гадоў таму

510 — 23.08.1486 г. нар. Сігізмунд Герберштэйн (пам. 28.03.1566 г.), нямецкі дыпламат і падарожнік, двойчы, у 1517 і 1526 г.г. наведаў Беларусь і Маскву, пакінуў выдадзеную ў 1549 г. кнігу „Запіскі пра маскоўскія справы", у якой шмат звестак пра тагачаснае жыццё на беларускіх землях.

490 — 19.08.1506 г. памёр вялікі князь літоўскі і кароль польскі Аляксандр Ягелончык (нар. 5.08.1461 г.), за якога часоў ішла цяжкая і працяглая вайна з Маскоўскім княствам, у яе выніку беларуская дзяржава страціла значную частку сваіх зямель на ўсходзе.

— У 1506 г. уступае на трон караля польскага і вялікага князя літоўскага Зыгмунт (Жыгімонт) Ягелончык (нар. 1.01.1467 г., пам. 1.04.1548 г.), яго панаванне, нягледзячы на войны з Масквою, стала эпохай росквіту беларускай культуры.

460 — У 1536 г. нар. Пётр Скарга (сапраўднае прозвішча Павэнскі, пам. 12.09.1612 г.), рэлігійны і палітычны дзеяч Рэчы Паспалітай, езуіт, заўзяты вораг праваслаўя і паланізатар беларусаў і ўкраінцаў, ініцыятар і прапагандыст берасцейскай уніі (1596), таленавіты прапаведнік, якога прамовы ў сейме і перад каралём Зыгмунтам III Вазам былі злосным ганьбаваннем беларускага і ўкраінскага народаў, іх праваслаўнай веры, нацыянальнай мовы, культуры, традыцыі.

120 — У 1878 г. у Свіслачы (каля Ялоўкі) пачала працаваць Свіслацкая настаўніцкая семінарыя (зачыненая ў 1921 г. польскімі ўладамі), якая рыхтавала высокакваліфікаваных настаўнікаў для пачатковых школ, многія з іх паходзілі і працавалі на Беласточчыне, м.інш. заслужаная дзеячка Вера Матэйчык (Маслоўская) з Агароднічкаў каля Супраслі.

90 — 28.08.1906 г. нар. Сяргей Новік-Пяюн (пам. у 1994 г.), настаўнік, дзеяч беларускага руху ў Заходняй Беларусі, паэт. Сасланы польскімі ўладамі ў Быдгаскае ваяводства, вязень нямецкага канцлагера, 10 гадоў зняволены ў сталінскім ГУЛагу на Калыме, друкаваўся з 1925 г. у віленскіх выданнях, п'есы, вершы, творы для дзяцей, доўгія гады супрацоўнічаў з беластоцкай „Зоркай".

65 — 5.08.1931 г. нар. Павел Дзюбайла, літаратурны крытык, навуковец, у друку выступае з 1956 г., працы: „Беларускі раман аб Вялікай Айчыннай вайне" (1964), „Вобраз нашага сучасніка ў беларускай прозе" (1978), „У пошуках духоўных каштоўнасцей: беларуская проза сёння" (1987), „Станоўчы герой у беларускай літаратуры" (1990) — усё прасякнута ўсхваленнем камунізму.

60 — 9.08.1936 г. нар. у вёсцы Лыскі каля Беластока Яўген Верабей (сапраўднае прозвішча Міклашэўскі), банды ў 1946 г. выгналі ўсю сям'ю ў „сталінскі рай", пісьменнік, друкуецца з 1959 г., некалькі зборнікаў лірыкі, аповесці: „Чатыры дарогі" (1979), „Мёртвая крыніца" (1989), кнігі гумару і сатыры.

40 — 13.08.1956 г. пам. Якуб Колас (нар. 3.11.1882 г.), празаік і паэт, адзін з галоўных заснавальнікаў новай беларускай літаратуры, стваральнік класічных твораў нашай літаратуры: паэм „Новая зямля" (1923), „Сымон-музыка" (1925), трылогіі „На ростанях" (1923-1955), аповесцяў „На прасторах жыцця" (1926), „Дрыгва" (1934), апавяданняў, вершаў, артыкулаў. Педагог і навуковец.

5 — 25.08.1991 г. надзвычайная сесія Вярхоўнага Савета БССР надае канстытуцыйны статус Дэкларацыі аб дзяржаўным суверэнітэце Беларусі, спыняе дзейнасць камуністычнай партыі Беларусі і яе агентураў.

(мг)

Я — беларуска

Палякі называлі яе „эксцэнтрычнай", нямецкія артысты — дзівачкай, што аддалася справе беларускіх мужыкоў. Руская шчыра не разумелі яе памкненняў, літоўцы паважалі і нават узнагародзілі ордэнам „Вялікі крыж Гедыміна". Беларусы заслужана ж лічылі княгіню-асветніцу Марыю Магдалену Радзівіл адной з тых, хто складае гонар іх нацыі.

Нарадзілася Марыя Магдалена 8 ліпеня 1861 года ў Варшаве. Дзяцінства яе прайшло ў родавых маёнтках Жарноўцы і Кунічы ў Ігуменскім павеце на Беларусі. Бацька дзяўчынкі, граф Завіша-Кіжгайла, які паходзіў са старадаўняга беларуска-літоўскага роду вызначаўся патрыятызмам. Быў шырока вядомы як археолаг і этнограф. Імкнуўся узгадаваць дочкі ў любоўі да роднай зямлі і сам з'яўляўся для іх прыкладам у гэтай справе. Неаднойчы браў з сабою Марыю Магдалену і яе старэйшую сястру Марыю Еву падчас наведвання



Бацька Марыі Магдалены з жыхарамі вёсак размаўляў па беларуску

вёсак, што размяшчаліся на яго землях. З жыхарамі гэтых вёсак (як, дарэчы, даволі часта і дома) размаўляў па-беларуску. А вось маці Марыі Магдалены, графіня Марыя Хвіліцкая, была тыповай палячкай. Вызначалася касмапалітызмам, які выражаўся ў захапленні ўсім французскім і англійскім. Яна дабівалася, каб выхаванне дачок было даверана англійскім і французскім гувернанткам. Адначасова з гэтым выхаванне ў сям'і Завіша-Кіжгайлаў было надзвычай рэлігійным. Дзяўчынкі выраслі шчырымі каталічкамі. Нягледзячы на ўсё гэта, пачуццё любові да роднай зямлі, пасеянае бацькам, ў душы Марыі Магдалены захавалася.

Ішлі гады. Дзяўчынка ператварылася ў юную прыгажуню. Па сведчаннях сучаснікаў, у юнацтве Марыя Магдалена прыцягвала ўвагу сваёй арыстакратычнай прывабнасцю. Яна мела залацістыя валасы, бездакорны авал твару, шэрыя вочы, надзвычай белую скуру і вылучалася грацыёзнай хадой.

У 1881 годзе Марыя Магдалена ўзяла шлюб з закаханым у яе 49-гадовым графам Людвікам Крысінскім. Яе муж быў непаспалітай асобай, меў славу ўзорнага гаспадара. У сваіх уладаннях ён пабудаваў і абсталяваў самай новай тагачаснай тэхнікай цукроўні, цагельні, млыны, правёў да іх вузкакалейную чыгунку. Найбольшую ж вядомасць набыў дзякуючы свайму захапленню конегадоўляй. Яго конезавод лічыўся лепшым у Польшчы. Коней, выгадаваных у яго гаспадарцы, куплялі для паляпшэння пароды каняводы не толькі з бліжэйшага наваколля, але нават замежныя. Адначасова з гэтым, граф Крысінскі займаўся вялікай грамадскай дзейнасцю. Ён быў заснавальнікам Пецярбургскага таварыства падтрымкі расійскай прамысловасці і гандлю, адным з заснавальнікаў і шматгадовым старшынёй музея прамысловасці і сельскай гаспадаркі ў Польшчы. Захапляўся граф таксама мастацтвам. У сваім маёнтку меў вялікую калекцыю антыкварыяту.

Вельмі хутка пасля вяселля Марыя Магдалена парадавала мужа. У іх з'явілася дачка, якую назвалі Людвікай. У наступным годзе шчаслівая маці даведалася аб смерці свайго бацькі — графа Завішы-Кіжгайлы. У спадчыну ад яго яна атрымала маёнткі Жарнаўцы і Кухцічы, дзе прайшло яе дзяцінства, і некалькі маёнткаў у Вялікапольшчы. Кіраўніцтва імі яна даручыла свайму мужу. Ён з радасцю ўзяў на свае плечы і гэты цяжар. Кіраваў імі з такім жа поспехам, як і сваімі. Але ў сакавіку 1895 года ён памёр.

Аўдавелая, Марыя Магдалена, дзякуючы спадчыне, якая засталася ёй ад бацькі і ад мужа, стала адной з найбагацейшых землеўладальніц краю. Да яе амаль адразу пачалі заляцацца з прапановамі рукі і сэрца. Але яна не спяшалася зрабіць выбар, бо разумела, што прэтэндэнтаў цікавіць не толькі яна сама, колькі яе багацце. Таму ўсе яны атрымалі адмову.

Пасля смерці бацькі і мужа, у Марыі Магдалены, якая заўсёды вызначалася набожнасцю, яшчэ больш узмацнілася гэтая рыса характару. Яна вырашыла ахвяраваць частку свайго багацця на дабрачынную дзейнасць і фундатарства. Асаблівую ўвагу звяртала на дзяцей — сірот, шмат рабіла для паляпшэння іх становішча. Адкрыла шэраг прытулкаў для іх. Адначасова фундавала будаўніцтва касцёла на вуліцы Манюшкі ў Варшаве, шпіталя таварыства дабрачыннасці ў Мінску і прыстанішча Маўрыцыя Чарноцкага. У гэты час яна шмат падарожнічала па Еўропе. Наведала Італію, Францыю, Англію. Падчас вандроўкі па „туманным Альбіёне" пазнаёмілася з князем Мікалаем Радзівілам. Новы знаёмы прывабіў яе незвычайнасцю свайго характару і жыцця. Гэта быў сапраўдны авантурыст у лепшым значэнні гэтага слова. Пры знаёмстве з яго біяграфіяй узнікае ўражанне, што яму варта было б нарадзіцца на некалькі стагоддзяў раней. З яго мог бы атрымацца славуты першаадкрывальнік або заваёўнік заморскіх краін. Князь Радзівіл шмат падарожнічаў, пабачыў свет, прымаў удзел амаль ва ўсіх войнах

свайго часу. Ён змагаўся на Балканах, удзельнічаў у англа-бурскай вайне.

Карацей, Радзівіл моцна вылучаўся з усяго асяроддзя Марыі Магдалены. Знаёмства хутка перарасло ва ўзаемнае каханне. Не перашкодзіла нават тое, што князь быў маладзейшым... на 19 гадоў. У хуткім часе Марыя атрымала ад яго прапанову шлюбу. Вянчанне адбылося 30 красавіка 1906 года ў Лондане, у каралеўскай Баварскай капліцы.

Польскі „свет" успрыняў гэты шлюб, як кажуць, у штыкі. Нягледзячы на тое, што князь Радзівіл знаходзіўся ў сваяцкіх адносінах з многімі знатнымі мясцовымі родамі, вышэйшае грамадства яго не прыняло. Яно не магло дараваць Радзівілу ягоны авантурызм і эксцэнтрычнасць. Да таго князь славіўся як „хлапаман" і русафіл. Яму быў аб'яўлены байкот. Марыя Магдалена разам з мужам вырашаюць парваць з польскім асяроддзем. Князю гэта не здавалася цяжкім, ды і наша зямлячка, дзякуючы выхаванню бацькі, ніколі не адчувала вялікай прыхільнасці да палякаў. Яна нават пазбягала размаўляць на польскай мове. Да размоў у сяброўскім коле ўсё жыццё выбірала альбо беларускую, альбо французскую мову. Больш таго, у 1912 годзе на старонках газеты „Мінскае рускае слова" абвясціла: „Лічу сябе беларускай, народжання літоўскага, як і муж мой. За польку сябе не лічу". Прычым, адным з аргументаў, якія пацвярджалі яе думку, прыводзіла, што „...муж мой ніколі не ажаніўся б з полькай".

Маладажоны пакінулі Варшаву. Пасяліліся ў Кухцічах у сядзібе, пабудаванай яшчэ прадзедам Марыі Магдалены. Мікалаю Радзівілу гэтыя мясціны вельмі спадабаліся. Ён наогул любіў прастату, натуральнасць. Апранаўся вельмі сціпла. Нечакана захапіўся збіраннем фальклору. Вандраваў па наваколлях, запісваў народныя песні, рабіў апісанні абрадаў. Свае запісы адсылаў у Пецярбург у Геаграфічнае таварыства. Разам з ім Марыя Магдалена пачала дзейнасць па падтрымцы пачынанняў беларускіх палітычных колаў розных напрамкаў. Прыкладала шмат намаганняў для падрыхтоўкі нацыянальных кадраў. У сваіх вёсках Кухцічы, Каменка і Узда адчыніла беларускія школы, фінансавала іх. Там жа ўтварыла таварыствы цвярозасці. Аказала грашовую дапамогу студэнтам Віленскага і іншых універсітэтаў. Устанавіла для іх некалькі стыпендый. Дапамагала бібліятэцы беларускага гуртка пры Духоўнай Акадэміі ў Пецярбургу. Падтрымлівала матэрыяльна беларускіх каталікаў. Аказала фінансавую дапамогу для будаўніцтва трох аднапавярховых будынкаў інтэрната семінарыстаў у Вільні. Нягледзячы на тое, што была шчырай каталічкай, дапамагала грашыма іншым канфесіям. Напрыклад, падтрымала намаганні ксяндза Фёдара Абратовіча па ўтварэнні беларускага калегіума ў Рыме. Дала яму вялікую суму грошай на гэту справу. Аднак галоўнае, чым вызначылася дзейнасць Марыі Магдалены ў гэты час, — гэта падтрымка першых перыядычных беларускіх выданняў. Яна апекавала выдавецтва „Загляне сонца ў наша ваконца" ў Пецярбургу, Беларускае выдавецкае таварыства ў Вільні, „Нашу ніву", каталіцкі клерыкальны часопіс „Biełarus", які выходзіў на лацінцы, іншыя выданні. Аказвала ўсебаковую дапамогу творчай моладзі. За яе грошы былі надрукаваны першыя кнігі Максіма Багдановіча, Канстанцыі Буйло і іншых пачаткоўцаў.

Падтрымлівала Марыя Магдалена і літоўскіх каталікаў. У 1912 годзе для іх у Лондане быў пабудаваны касцёл. Праўда, з умовай — „каб ім не карысталіся палякі".

Муж не толькі не перашкаджаў ёй займацца ўсёй гэтай дзейнасцю — наадварот, аказваў усялякую падтрымку. У сям'і панавалі каханне, мір і ўзаемаразуменне. Усё змяніла першая сусветная вайна. З першых яе дзён князь Радзівіл уступіў у армію Расіі. 30 лістапада 1914 года ён загінуў ва Усходняй Прусіі.



Мінск. Чыгуначная царква і капліца па вуліцы Захар'еўскай (сённяшні праспект Скарыны), пры якой стаяў дом Марыі Магдалены Радзівіл

Марыя Магдалена глыбока смуткавала. Жыла то ў сваіх беларускіх маёнтках, то ў Мінску, дзе па вуліцы Захар'еўскай мела ўласны дом. У год смерці мужа аказала грашовую дапамогу літоўскай гімназіі ў Марыямпалі. Яшчэ больш зблізілася з беларускімі палітычнымі дзеячамі. Яе дом у Мінску і палац у Кухцічах з 1915 г. па 1918 г. былі месцамі сустрэч Рамана Скірмунта, Вацлава Іваноўскага, Аляксандра Уласава, Івана і Антона Луцкевічаў. Марыя Магдалена падтрымлівала іх маральна і матэрыяльна. У 1915 г. стала яна ганаровым членам Цэнтральнага камітэта Літвы па справе дапамогі інвалідам вайны. У 1917 г. выехала ў Маскву. Аднак праз некалькі месяцаў вярнулася ў Мінск. У наступным годзе абвясціла сябе грамадзянкай Беларускай Народнай Рэспублікі. У канцы гэтага ж года, перад самым прыходам Чырвонай Арміі, выехала ў Варшаву. Там працягвала займацца палітычнай дзейнасцю. У сваім палацы ўтварыла салон, у якім, акрамя беларускіх дзеячоў, неаднойчы бывалі прадстаўнік Літвы ў Польшчы Ю. Шаўліс, біскуп Эдуард О'Роўрк, палякі-землеўладальнікі на чале з Раманам Скірмунтам і Эдвардам Вайніловічам. У гэты час Марыя Магдалена выношвала ідэю выпрацоўкі канцэпцыі, якая магла б прывесці да ўтварэння уніі паміж беларускімі і польскімі землямі. Аднак палякам гэта не спадабалася. Праз пэўны час яны наогул пачалі адмоўна ставіцца да дзейнасці нашай зямлячкі. Яна адчула гэта. Да таго ж яе замучыла туга па радзіме. У 1919 г. яна паспрабавала вярнуцца ў Беларусь, але гэтыя спробы сарваліся, бо ёй адмовілі.

Пасля гэтага Марыя Магдалена вырашыла канчаткова парваць з Польшчай. Яна пачала распрадаваць сваю маёмасць і ўладанні. Крыўда на яе заходніх суседзяў была настолькі моцнай, што нерухомасць сваю яна прадавала каму давядзецца, нават яўрэям — абы не палякам. У 1922 г. Марыя Магдалена перабралася ў Літву. Пасялілася ў Коўні. Літоўскі ўрад у знак удзячнасці за дабрачынную і фундатарскую дзейнасць узнагародзіў нашу зямлячку ордэнам „Вялікі крыж Гедыміна".

У Коўні Марыя Магдалена зноў зблізілася з шэрагам дзеячаў былой Беларускай Народнай Рэспублікі. Прычым, разыходзілася з часткай з іх па пытанні аб тым, з кім аб'ядноўвацца. Стаяла за еднасць з Расіяй — нават савецкай. І рэзка выступала супраць збліжэння з Польшчай. Пазней яна пераехала ў Нямеччыну. Вельмі крыўдзілася, калі прадстаўнікі мясцовай арыстакратыі называлі яе полькай або расейкай. Падкрэслівала, што яна — беларуска. Дабрачыннай дзейнасці ўвесь гэты час не перапыніла. Рэгулярна дасылала грошы беларускім студэнтам і арганізацыям у Вільні. Сярод мясцовых артыстаў заслужыла славу дзівачкі.

У пачатку 30-х гадоў Баварыю ахапіў фашысцкі рух. Таму ў 1932 г. яна перабралася ў Швейцарыю. Вырашыла пакінуць мірскі свет і пайсці ў манастыр. Спыніла свой выбар на кляштары дамініканак з горада Фрыбург, вядомых жорсткасцю свайго ўставу. Аднак і за мурамі кляштара не перастала займацца дабрачыннасцю. Працягвала фінансаваць беларускія арганізацыі, якія знаходзіліся ў Польшчы. У 1935 г. здзейсніла акцыю, якая выклікала выбух незадавальнення і крытычных заўваг сярод польскай арыстакратыі — пабудавала ў Варшаве дзве школы для яўрэйскіх дзяцей.



Іван і Антон Луцкевічы, Аляксандр Уласаў (сядзіць справа), з якімі Марыя Магдалена сустракалася ў сваім доме ў Мінску і ў палацы ў Кухцічах



Народны сакратарыят Беларускай Народнай Рэспублікі. Злева направа: сядзяць — А. Бурбіс, Я. Серада, Я. Варонка, В. Захарка; стаяць — А. Смоліч, П. Крачэўскі, К. Езавітаў, А. Аўсянік, Л. Заяц. Мінск 1918. Марыя Магдалена ў Коўне зблізілася з шэрагам дзеячаў былой Беларускай Народнай Рэспублікі. Прычым, разыходзілася з часткай з іх па пытанні аб тым, з кім аб'ядноўвацца. Стаяла за еднасць з Расіяй — нават савецкай

Другая сусветная вайна абмінула Швейцарыю. Аднак Марыя Магдалена вельмі балюча пераносіла весткі аб перамогах нямецка-фашысцкіх войск на ўсходзе. Яна з вялікай увагай сачыла за развіццём падзей. Прадказвала, што Германія пацерпіць паражэнне. На вялікі жаль, не дажыла дня, калі яе словы канчаткова спраўдзіліся. Не дажыла ўсяго некалькі месяцаў. Сэрца гарачай патрыёткі і нястомнай асветніцы перастала біцца 6 студзеня 1945 года.

Марыя Магдалена памерла. Аднак засталіся кнігі, што былі выдадзены на яе грошы, касцёлы, фундаваныя ёю, нашы землякі, якія з яе дапамогай змаглі атрымаць адукацыю і прысвяціць сябе справе служэння роднай зямлі. Засталася памяць.

Мікола Багадзяж

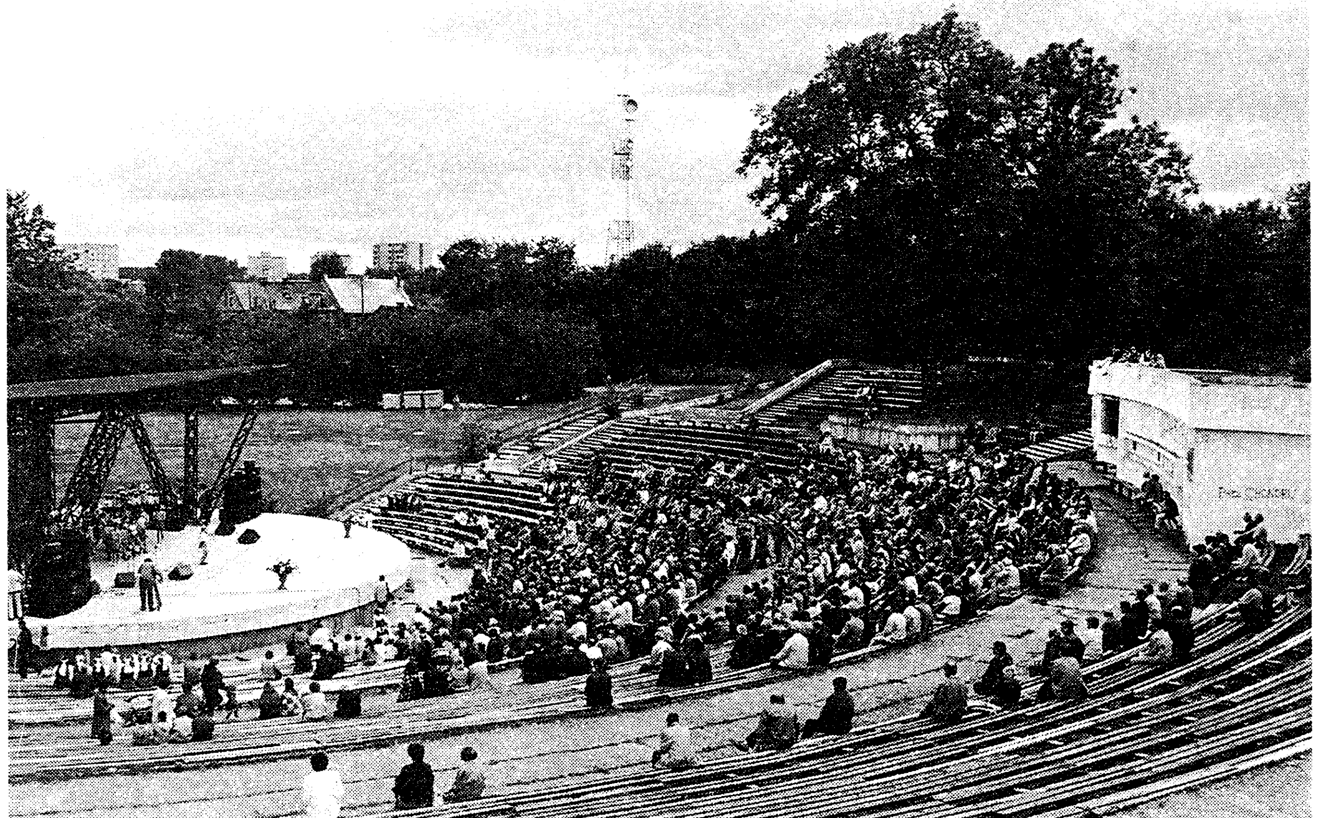
„Беларуская мінуўшчына" 1(96)

Ілюстрацыі з: „Мінск на старых паштоўках" (Мінск, „Беларусь", 1984) і „Ілюстраваная храналогія гісторыі Беларусі" (Мінск, „Беларуская Энцыклапедыя", 1995).

■ REGION

Białowieża

● 28 czerwca została odwołana wójt gminy Anna Bajko. Zdaniem przewodniczącego rady gminy, Włodzimierza Wołkowyckiego, powodem było zaniechanie spłacania pożyczki, zaciągniętej przez gminę z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska. W 1994 r. Białowieża otrzymała z tego źródła kredyt w wysokości 2 mld starych złotych, z przeznaczeniem na budowę oczyszczalni ścieków. Zdaniem pani burmistrz, jej odwołanie jest przykładem bezkompromisowej walki o stołki. Utrzymuje ona, że aktualnie gmina nie ma żadnych zaległości w spłatach kredytu.



16 czerwca w białostockim amfiteatrze Fot. Jerzy Osiennik

Białystok

● 8 czerwca w gmachu Filii UW przy ul. Liniarskiego odbyła się konferencja naukowa poświęcona 40-leciu pracy twórczej i 60-tym urodzinom Sokrata Janowicza (na zdjęciu). Uczestnikami byli m.in.: wiceprezydent białoruskiego PEN-Clubu prof. Uładzimir Arloŭ, rektor Filii UW Władysław Andrzej Serczyk, konsul białoruski w Białymstoku Michał Slamnioŭ, poeta Jan Leończuk. Przy okazji konferencji została zorganizowana wystawa dorobku twórczego Janowicza. Spotkanie zorganizowało Białoruskie Stowarzyszenie Literackie „Białowieża" przy współpracy Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego.



Fot. Jerzy Osiennik

● 16 czerwca Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Świętem Kultury Białoruskiej w Białymstoku rozpoczęło sezon letnich festynów ludowych. Festyny, z udziałem miejscowych białoruskich zespołów folklorystycznych, będą organizowane w kilkunastu miejscowościach na Białostocczyźnie.

● Blisko 130 naukowców z Polski i zagranicy wzięło udział w dwudniowej konferencji „Języki obce w systemie edukacyjnym". Do Białegostoku zjechali wykładowcy z większości ośrodków akademickich w Polsce, a także z Francji, Rosji, Białorusi, Ukrainy i Bułgarii.

Hajnówka

● Odbyło się pierwsze polsko-białoruskie seminarium poświęcone literaturze współczesnej i jej przemianom „Biazmieżża '96". Organizatorem seminarium był Związek Białoruski w RP.

● Ukazał się pierwszy numer „Gazety Hajnowskiej". Jest to kolejne pismo samorządowe w naszym regionie. Jego redaktorem naczelnym jest Jan Ciełuszecki z Białegostku.

Krynice

● W Radiowo-Telewizyjnym Centrum Nadawczym postawiono pierwszą część (21 m) nowego masztu. Zakończenie inwestycji planowane jest na koniec roku. Maszt w Krynicach będzie miał 330 m wysokości. Na jego szczycie zostanie zainstalowana nadawcza antena telewizyjna, dzięki której mieszkańcy całej Białostocczyzny będą mogli oglądać Program II Telewizji Polskiej, programy Białostockiego Ośrodka Telewizyjnego oraz Polsatu. Z anten umieszczonych na maszcie będzie również transmitowany Program III Polskiego Radia, Radio Białystok, „Zet" i program radia katolickiego.

Krynki

● Gminna Spółdzielna „Samopomoc Chłopska" uruchomiła nową linię do produkcji popularnej „Krynki". Dzięki tej inwestycji zakład będzie wytwarzać trzykrotnie więcej napojów.

Mielnik

● Spółka „OMP" z Jeleniej Góry wygrała przetarg na zakup zakładu kredy.



M.in. Mirosława Łuksza, Jan Maksymiuk, Aleś Bialacki, Eugeniusz Wappa, Jerzy Leszczyński, Adam Globus i Ihar Babkoŭ w Hajnówce dyskutowali o literaturze i jej przemianach **Fot. Jerzy Osiennik**

Firma pracuje w branży surowców mineralnych i wraz z zakładem w Mielniku przejmie również podobne przedsiębiorstwo w Kornicy w woj. bialskopodlaskim. Nowy właściciel zapowiada zatrudnienie w Mielniku 30 osób.

Ploski

● Od dwóch miesięcy trwają prace remontowe mostu na krajowej drodze nr 19 na Narwi. W czasie trwania remontu przez most mogą przejeżdżać jedynie pojazdy o ciężarze całkowitym do 10 ton. Czynny jest tylko jeden pas jezdni, a wjazd na most reguluje sygnalizacja świetlna. Przewiduje się też dwukrotne całkowite zamknięcie mostu dla ruchu kołowego. Remont potrwa ok. 9 miesięcy i będzie kosztować 17 mld starych złotych.

Siemiatycze

● Cztery dni trwały prace przy demontażu Pomnika Braterstwa Broni, postawionego w latach siedemdziesiątych ku czci żołnierzy polskich i radzieckich poległych w czasie II wojny światowej. Obecnie obelisk uznano za relikt minionej epoki. Na początku roku siemiatyccy radni, głosami rządzącej tu katolickiej koalicji „Jedność", podjęli decyzję o jego usunięciu. Część mieszkańców — głównie prawosławni oraz działacze SLD — byli temu zdecydowanie przeciwni, twierdząc że zburzenie pomnika to demonstracja wrogości wobec wschodnich sąsiadów.

***

● W połowie czerwca na terenach wiejskich naszego regionu, podobnie jak w całym kraju, został przeprowadzony spis rolny. Zebrane wyniki mają posłużyć opracowaniu odpowiedniego raportu na temat warunków życia i stanu inwentarza w gospodarstwach rolników. Wielu ankietowanych podawało zaniżone dane w obawie przed wykorzystaniem ich przez urzędy skarbowe.

● Chociaż powoli, to jednak wciąż przybywa telefonów w naszym regionie. Telekomunikacja Polska SA kolejne inwestycje realizuje wspólnie z poszczególnymi gminami. Najnowszy projekt obejmuje tereny wzdłuż drogi Białystok-Bobrowniki, gdzie ma być położony kabel światłowodowy. Według obecnych kalkulacji, koszt założenia jednego telefonu wynosi 40 mln st. złotych. Mieszkańcy będą musieli wpłacić po ok. 8 mln, resztę pokryje TP SA oraz zarządy poszczególnych gmin, korzystając ze środków niektórych fundacji.

Regionalia

Baran po ukraińsku

Często bywa tak, że wcześniejsze oczekiwania rozmijają się z rzeczywistością. W kuluarach białorusko-białostockich salonów przebąkuje się, że zasada ta sprawdza się w przypadku pełnomocnika wojewody do spraw mniejszości narodowych.

Już sam poród nowego stanowiska nie należał do najłatwiejszych. I kto wie, czy gdyby w roli akuszerki nie wystąpiła sejmowa Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych, nie doszłoby do przenoszenia tej tak naprawdę nie chcianej przez nikogo ciąży. Albo — jeszcze gorzej — do poronienia.

Ostatecznie samozwańczy ojciec chrzestny nowego urzędnika — przewodniczący Wappa (przez dwa „P", jak sam mówi, od niem. *die Wappe* — herb, albo człowiek z herbem) Eugeniusz mógł odetchnąć. Dziecko spało słodkim snem.

Kultura polityczna i osobista nakazywały dać czas na przeczekanie okresu niemowlęctwa. Pewnie dlatego młodzi gniewni („gniewni" — bo nie zaproszono ich na chrzciny) Białorusini puścili w niepamięć niedotrzymane słowa wojewody Gajewskiego, że obsadę urzędu będzie z nimi konsultować. O dziwo, nikt też nie reagował na oświadczenia urzędników wojewódzkich, według których pełnomocnikiem może zostać tylko Polak z matki i ojca Polaków wiary rzymskokatolickiej. W opinii ojców regionu dawało to pewność uśmierzenia w zarodku waśni narodowościowych o obsadę intratnego stanowiska. Nie reagował, choć, gdyby się uprzeć, możnaby doszukać się w takim postawieniu sprawy nawet pogwałcenia konstutucyjnej zasady równości obywateli wobec prawa. Konstytucja konstytucją, a w Białymstoku, gdzie wojewoda nie może być prawosławny, stało się to już normą.

Inna rzecz, że takie, postawione na głowie, rozumowanie poważnie ograniczyło wybór kompetentnej osoby, posiadającej choćby przybliżoną orientację w sytuacji mniejszości w regionie. Choćby ze względu na nieznajomość języka ojczystego tychże.

Zaskakujące, żeby nie powiedzieć zdumiewające, były początki działalności już powołanego urzędnika. Oto bowiem w rozmowie z dziennikarzem „Niwy" oświadczył on, że za jedną z misji uważa odkrywanie nieznanych dotychczas narodowości, aby w ten sposób jeszcze bardziej urozmaicić mozaikę narodową Białostocczyzny. I — jak być może sądził — uzasadnić sens istnienia urzędu.

Równie interesujący jest planowany na przełom lipca i sierpnia, wspólnie z Wojewódzkim Ośrodkiem Animacji Kultury, spływ kajakowy doliną Narwi. Według Pana Pełnomocnika, zapalonego turysty i wioślarza, rzeka Narew „nie dzieli, a wręcz łączy wiele narodowości zamieszkałych nad nią" (patrz: „Obiektyw. Tygodnik Białostocki", 19.06.1996 r.). W ten sposób, wykorzystując jałowy sezon ogórkowy, rozwiązana zostanie większość problemów Białorusinów w Białostockiem. Ta, organizowana cyklicznie impreza wpłynie też zbawiennie na zakończenie waśni narodowościowych, zbliżenie między poszczególnymi grupami narodowymi, a nawet — wśród nich samych. Nietrudno bowiem przewidzieć, że tygodniowe wiosłowanie w sąsiednich kajakach np. redaktora naczelnego „Niwy" Mironowicza Eugeniusza i sekretarza ZG Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Łaskiewicz Walentyny może przyczynić się do urozmaicenia oferty artystycznej najbardziej masowej organizacji białoruskiej w Polsce. Z propozycji Pani Sekretarz ochoczo skorzysta zapewne Redaktor Naczelny.

A po całodniowej rekreacji, przy ognisku i romantycznych dźwiękach cygańskiej gitary, pozostanie tylko z rozmarzeniem delektować się pieczonym baranem po ukraińsku. Jak powszechnie wiadomo — najpopularniejszą potrawą okolicznych mieszkańców.

K. Rozumak

Moim zdaniem

Rozmyślania nad puszczą

Dowiedziałem się od znajomych, że w Zalewie Siemianówka po ostatniej ostrej zimie wymarło dużo ryb. Co mogło doprowadzić do tej klęski? Czy jest w tym wina człowieka?

Zalew budowano trzynaście lat. Napełnianie zbiornika rozpoczęto w końcu lat 80. Zalano olbrzymie obszary bagien, łąk, pastwisk i pozostałości ludzkich siedzib. Pod wodą znalazły się trawy, korzenie drzew, pokłady torfu, roślinność bagienna, a także niektóre zwierzęta i owady. W bardzo krótkim czasie środowisko naturalne uległo olbrzymim przemianom. Na dnie zbiornika rozpoczął się proces gnilny. Potrwa to jeszcze kilkadziesiąt lat.

W tym roku doszło do zamarznięcia zbiornika do około 1 m głębokości, co spowodowało ustanie ruchu wody, przerwanie dostępu powietrza, w wyniku czego procesy gnilne się nasiliły i w wodzie pojawiło się wiele trujących związków, które uśmierciły ławice ryb.

Człowiek, ingerując w przyrodę, nie przewidział wszystkich możliwych konsekwencji. Wraz z zalaniem zbiornika pojawiły się nowe gatunki fauny i flory, np. mewy. Nikt nie może powiedzieć, jaki to będzie miało wpływ na ekosystem całego regionu, a szczególnie Puszczy Białowieskiej, która go w znacznym stopniu kształtuje. Niewątpliwie ulegnie on zaburzeniu. Już teraz można zaobserwować niektóre anomalie. Zalew stworzył bowiem swoisty mikroklimat, kształtujący pogodę w okolicznych gminach. Niestety, latem prądy powietrzne większość chmur burzowych spychają nad zalew, co powoduje wysychanie pól i niskie plony w rolnictwie.

Aby w przyrodzie nastąpiła równowaga i ukształtował się stabilny ekosysytem sztucznego jeziora, Zalew Siemianówka potrzebuje co najmniej 30 lat. Odczuje to głównie Puszcza Białowieska, która teraz narażona jest także na inne niebezpieczeństwa. Dwa lata temu utworzono tu korytarz powietrzny dla samolotów pasażerskich. Przebiega on nad Hajnówką, Narewką i Siemianówką, zahacza zatem o północny kraniec puszczy. Codziennie przelatuje tędy kilkadziesiąt samolotów. Hałas silników nie pozostaje bez wpływu na faunę Białowieskiego Parku Narodowego i Zalewu Siemianówka.

Istotnym zagrożeniem jest też linia kolejowa Hajnówka-Siemianówka, wykorzystywana do przewozu niebezpiecznych substancji. Tory są tam częściowo zużyte, zatem o katastrofę ekologiczną nietrudno.

Te zagrożenia można zmniejszyć, a nawet zlikwidować, przy odrobinie dobrej woli ze strony władz wojewódzkich i centralnych. W celu ochrony puszczy należałoby poszerzyć Białowieski Park Narodowy o okolice Zalewu Siemianówka, a znajdujący się nad nią korytarz powietrzny przesunąć około 20 km na północ, między Puszczę Knyszyńską i Białowieską. Aby uniknąć katastrofy ekologicznej w związku z kolejowymi przewozami substancji chemicznych, należy zastosować szczególne środki bezpieczeństwa. Czuwać nad tym powinny specjalnie do tego celu powołane służby. Na razie są to jednak tylko pobożne życzenia. Czy musi dojść do katastrofy?

Jan Drozd

■ ŚWIAT

Estonia, Łotwa

● Prowadzony przez Jerzego Tomzika dziecięcy zespół estradowy „Pronar” z Narwi koncertował po Estonii i Łotwie. Młodzi artyści, występujący w swym kraju jako dziecięcy zespół białoruski, zostali wytypowani przez Urząd Wojewódzki w Białymstoku do roli reprezentanta kultury polskiej na odbywających się w czerwcu Dniach Starego Tallina. Wyjazd sponsorowała firma Pronar.

Francja

● Wniesieniu pod obrady Rady Europy przypadków łamania praw człowieka w Republice Białoruś sprzeciwiła się Rosja. Wiceminister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej, Borys Pastuchow, zaapelował do parlamentarzystów swego kraju, którzy zasiadają w Strasbourgu, by sprzeciwili się debacie na ten temat.

Rosja

● 25 czerwca w Smoleńsku odbyło się posiedzenie zgromadzenia parlamentarzystów Wspólnoty Białorusko-Rosyjskiej. Obie Rady Najwyższe wydelegowały po 15 deputowanych. Spotkanie miało charakter organizacyjny. Zgodnie z umową integracyjną z 2 kwietnia, żadne postanowienia tego zgromadzenia nie mogą być wiążące dla władz poszczególnych krajów. Wspólne posiedzenia parlamentarne mają służyć jedynie wymianie poglądów.

● Wprowadzone przez Rosję i Białoruś cła zaporowe na napoje gazowane spowodowały załamanie się eksportu polskich rozlewni na rynki wschodnie. Firma HOOP, której jeden z zakładów znajduje się w Bielsku Podlaskim, aby to złagodzić w tym roku uruchomiła swoją filię w Moskwie.

■ KRAJ

Ełk

● Podczas I Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Gitarowej, z udziałem wykonawców z wielu krajów, najlepszy w kategorii do lat 20 okazał się Białorusin Dzima Siomau z Grodna.

Sejny

● 6 czerwca zakończyła się pierwsza sesja Szkoły Pogranicza, powstałej z inicjatywy ośrodka „Pogranicze — Sztuk, Kultur, Narodów”. W tygodniowym spotkaniu uczestniczyło ponad 30 osób z Białorusi, Ukrainy, Rumunii oraz Polski. Tematem zajęć, prowadzonych przez znane osobistości ze świata nauki, polityki i sztuki (m.in. Leona Tarasewicza) była wielokulturowość naszego kontynentu oraz prawa człowieka. Omawiano również sposoby rozwiązywania konfliktów. Słuchaczami sejneńskiej szkoły są m.in. Jan Syczewski i Walentyna Łaskiewicz — kierownictwo Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego.

Warszawa

● 4 czerwca odbył się finał II Olimpiady Języka Białoruskiego. Spośród 100 uczestników eliminacji szkolnych wyłoniono 15 licealistów, którzy wzięli udział w zmaganiach centralnych. Laureatami zostali: Agnieszka Sacharczuk, Anna Dudzińska i Marta Dmitruk z Bielska Podl. oraz Halina Sakowska, Grażyna Wołkowycka i Lucyna Leoniuk z Hajnówki.

● Ministerstwo Transportu podjęło decyzję o wprowadzeniu „okresowych ograniczeń oraz zakazu ruchu niektórych pojazdów na drogach”. Ciężarówki ważące ponad 12 ton nie będą mogły poruszać się po drogach w czasie upałów oraz w dni świąteczne przez cały rok. Działania te mają uchronić polskie szlaki komunikacyjne przed zniszczeniem i zlikwidować korki w czasie weekendów.

REPUBLIKA BIAŁORUŚ

Mińsk

● Na początku czerwca w środkach przekazu rozgorzała dyskusja na temat objęcia wypłat wynagrodzeń pracowniczych najwyższym priorytetem w państwie, takim samym jak wydatki na wojsko i milicję. Przedstawiciele kół gospodarczych natychmiast ostrzegli, że taki krok spowoduje tylko niekontrolowany wzrost inflacji. Przedsiębiorstwa poczują się zwolnione z obowiązku poszukiwania środków na wypłaty pracownikom, licząc na gwarancje ze strony państwa. Mimo to Rada Najwyższa uchwaliła w tej sprawie odpowiednią ustawę.

● Po niecałych trzech miesiącach od uchwalenia tegorocznego budżetu okazało się, że jego realizacja jest niemożliwa. W ciągu półrocza niekorzystne tendencje po stronie wydatków, zamiast zahamowaniu, uległy dalszemu wzrostowi. Wpływy z tytułu podatku dochodowego przedsiębiorstw były niższe w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego aż o połowę, zaś prywatyzacja wniosła tylko 58 proc. planowanych środków. Pomoc międzynarodowych organizacji finansowych została praktycznie wstrzymana.

● Na miesiąc stanęła Mińska Fabryka Samochodów, produkująca znane w świecie MAZ-y. 13 tysięcy pracowników skierowano na przymusowe urlopy. Przyczyną wstrzymania produkcji jest brak zbytu wytwarzanych ciężarówek, które dotąd w 90 proc. trafiały na rynek rosyjski.

● Prezydent Aleksander Łukaszenka wydał dekret o 100 proc. podwyżce płac dla funkcjonariuszy Omonu. Przeciętne zarobki pracowników tych służb będą teraz wynosić 3,5 mln brb, czyli ok. 300 dolarów, trzykrotnie więcej niż przeciętna płaca w republice.

● Zapadła decyzja o rozbudowie i modernizacji centralnego dworca kolejowego. Na ten cel, mimo głębokiego kryzysu, znalazły się środki w budżecie, ponieważ istniejący obiekt jest niefunkcjonalny i szpeci miasto. Wraz z nowym rozkładem jazdy, który wszedł w życie w czerwcu, zostało uruchomione połączenie kolejowe z Czelabińskiem na Uralu.

● Aleksander Łukaszenka nosi się z zamiarem przeprowadzenia kolejnego referendum. Tym razem chce, aby naród wypowiedział się na temat prywatnej własności ziemi, rozszerzenia NATO na wschód i niektórych punktów konstytucji.

● 16 czerwca 3048 Rosjan w sześciu okręgach wybierało prezydenta Federacji Rosyjskiej. Ponad dwa tysiące głosów oddano na Borysa Jelcyna. Podobny wynik zanotowano 3 lipca podczas drugiej tury.

● 22 czerwca 15 tysięcy minszczan wzięło udział w pochodach ulicznych i mityngach dla uczczenia rocznicy napaści Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki w 1941 r. 10 tysięcy — głównie weteranów — uczestniczyło w oficjalnych uroczystościach państwowych. Natomiast druga manifestacja, również legalna, przebiegała pod hasłem „Młodzież przeciwko faszyzmowi" i skupiła zwolenników niepodległości i demokracji, niosących biało-czerwono-białe sztandary. W porównaniu do poprzednich demonstracji organizowanych przez opozycję, tę wyróżniała wysoka samodyscyplina uczestników i spokojna postawa milicji.

● Kolejna kompania finansowa okazała się niewypłacalna. 3,5 tys. oszukanych udziałowców „Sekai" wystosowało petycję do prezydenta i przewodniczącego Rady Najwyższej z prośbą o pomoc w odzyskaniu utraconych pieniędzy. Bankructwo ogłosił również jeden z większych banków komercyjnych „Dukat". Jednak w tym przypadku posiadacze lokat do 2 tys. dolarów będą mogli skorzystać z bankowego funduszu gwarancyjnego.

● Nowe zasady polityki walutowej, wprowadzone na początku czerwca dekretem prezydenckim, spowodowały ograniczenia w obrocie walutami obcymi. Natychmiast odczuła to większość przedsiębiorstw kooperujących z zagranicą. Na przykład firmy turystyczne, które sprzedały imprezy zagraniczne, nie mogą obecnie wymienić białoruskich rubli na dolary, by móc opłacić koszty pobytu swych klientów w wynajętych ośrodkach.

● W Drozdach pod Mińskiem odkryto zbiorowe groby rozstrzelanych więźniów niemieckiego obozu koncentracyjnego z czasów II wojny światowej. Wiele spośród 10 tys. spoczywających tam ofiar to Polacy. Na dokładne przeprowadzenie badań władze białoruskie nie mają pieniędzy.

● Międzynarodowa komisja powołana do zbadania okoliczności ubiegłorocznego zestrzelenia balonów amerykańskich podała kilka przyczyn tragedii. W raporcie podkreśla się, że białoruskie służby ochrony powietrznej kraju nie dopełniły wszystkich formalności podczas prób nawiązania kontaktu z załogą. Eksperci udowodnili, że siły zbrojne bezpodstawnie zidentyfikowały balony jako obiekty lotnicze. Wcześniej odpowiednie organy popełniły błędy proceduralne przy rejestracji zgłoszeń drużyn uczestniczących w zawodach balonowych.

● W związku z emigracją z kraju Zianona Paźniaka, lidera Białoruskiego Frontu Narodowego, obowiązki szefa organizacji zaczął pełnić Lawon Barszczeŭski.

● Białoruski Instytut Informacji i Prognoz opublikował najnowsze wyniki badań popularności czołowych polityków białoruskich. Wciąż prowadzi prezydent Aleksander Łukaszenka, ale jego notowania w ciągu ostatnich trzech miesięcy spadły prawie o połowę, osiągając 30 proc. Na dwóch dalszych miejscach znajdują się liderzy opozycji — Stanisłaŭ Bahdankiewicz i Zianon Paźniak. W tych samych ankietach zadano również pytanie, kto ewentualnie mógłby zostać prezydentem Wspólnoty Niepodległych Państw. Łukaszenka i w tym przypadku uplasował się na pierwszym miejscu (37,4 proc.), wyprzedzając Borysa Jelcyna (12,7 proc.) i Giennadija Ziuganowa (7,9 proc.). Ankietowani odpowiadali także na pytanie, który z szefów byłego Związku Radzieckiego byłby zdolny wyprowadzić obecne republiki z kryzysu. Najwięcej głosów uzyskał Jurij Andropow (30,4 proc.), wyprzedzając Józefa Stalina (17,6 proc.).

Pińsk

● Na adres firmy „Iskra" nadeszło pismo od Władimira Żyrinowskiego, lidera Liberalno-Demokratycznej Partii Rosji, z propozycją sprzedaży linii technologicznej „Konwersja" do produkcji spirytusu i wódki. Pracownicy białoruskiej firmy, zajmującej się naprawą sprzętu radiowo-telewizyjnego, z oferty nie skorzystali.

Z prasy białoruskiej

„Nasza Niwa" przedrukowała informację z jednej z gazet rejonowych, podając sposób na wściekłe psy. Autorem porady jest miejscowy lekarz psychiatra, który twierdzi, że w razie ataku czworonożnego przyjaciela, napadnięty powinien uklęknąć, otworzyć szeroko usta i głośno szczekać. Według psychiatry, pies pomyśli, że człowiek oszalał i zostawi go w spokoju.

Ciągły brak „zająca"

Polska i Białoruś leżą w tej samej części Europy. Chociaż ze soba graniczą, oba kraje różni potencjał ekonomiczny i poziom rozwoju cywilizacyjnego. Jak to się przekłada na życie zwykłych ludzi?

Bezpośrednie porównanie cen i zarobków w krajach o różnych systemach gospodarczych może prowadzić do błędnych wniosków. Dlatego oprócz suchych liczb należy także uwzględnić takie czynniki, jak poziom dochodu narodowego, struktura wydatków budżetowych, przepisy podatkowe, systemy ubezpieczeń społecznych, ochrona socjalna i styl życia mieszkańców w obu państwach.

Europejska Organizacja Rozwoju i Współpracy Gospodarczej (OECD) opublikowała niedawno dane o produkcie krajowym brutto (PKB) w 15 państw Europy Środkowej. Badania przeprowadzono trzy lata temu, kiedy w Polsce nie notowano jeszcze wyraźnego wzrostu gospodarczego, zaś w Białorusi tamtejszy przemysł dopiero zaczynał się załamywać. Dlatego wielkość PKB w przeliczeniu na jednego mieszkańca w 1993 r. była u nas nawet mniejsza niż za wschodnią granicą. Nie oznacza to jednak, że Białorusinom wtedy lepiej się żyło niż Polakom. Niemal całość dochodu narodowego Republiki Białoruś pochłaniały wydatki w kompleksie wojskowo-administracyjnym oraz w sektorze socjalno-oświatowym. Rozpad Związku

	średnia miesięczna płaca netto	mleko pełne 1 l	chleb 1 kg	schab 1 kg	cukier 1 kg	jajka 1 kg	wódka 0,5 l	benzyna 1 l
POLSKA	625	8,5	1	8,5	1,8	3,2	14,5	1,5
BIAŁORUŚ	210	8,5	0,53	10,3	2	4	5,4	0,8

Relacje cenowo-płacowe w Polsce i Białorusi w przeliczeniu na złotówki

Radzieckiego spowodował załamanie się gospodarki białoruskiej. Ze sklepów znikły towary, zaczęła się hiperinflacja. Dolar stał się relatywnie o wiele droższy niż w Polsce. Polscy turyści do dziś z sentymentem wspominają czasy, gdy za jednego „zielonego" w Mińsku można było miło i dostatnio spędzić cały dzień (obiad w luksusowej restauracji, poruszanie się po mieście wynajętą taksówką). Wkrótce także tam ustanowiono sztywny kurs dolara i wprowadzono światowe relacje cenowe.

Obecnie w Białorusi większość towarów jest nie tylko relatywnie, ale i nominalnie droższa niż u nas. Ceny artykułów żywnościowych kształtują się na podobnym poziomie, mimo aż trzykrotnie niższych zarobków. Tańsze są tam nośniki energii i alkohol. Niska cena benzyzny i prądu sprawia, że nie są drogie usługi przewozowe. Autobusy, trolejbusy, tramwaje i pociągi są jednak przeważnie brudne i zatłoczone. Zresztą większość usług, ze względu na tanią siłę roboczą, jest relatywnie tańsza niż w Polsce. Niewielka jest jednak ilość firm usługowych. Ludzie w miarę możliwości starają się sami wykonywać remonty, naprawy itp. Sprzyja to szerzeniu się tzw. „szarej strefy".

Dzisiejszy obraz życia Białorusinów odzwierciedlają listy czytelników mińskiej „Zwiazdy" z ostatnich kilku tygodni. Niżej publikujemy niektóre z nich oraz fragmenty sondy ulicznej, którą redakcja przeprowadziła wśród mieszkańców stolicy.

Jerzy Chmielewski

Дзеці ў мяне вучацца ў школе (2, 4, 9, 11 кл.), прычым меншыя на „выдатна" і „добра". Думаю, што дзяцей здаровых зараз няма, хварэюць і мае. Асабліва часта хварэе меншая дачушка. Нядаўна ляжала ў бальніцы, знайшлі лімфавузлы, малакроўе, павышаны ціск. Пры выпісцы сказалі, што патрэбны вітаміны і гематаген. Выпісалі рэцэпты на лекі, якія я не змагла купіць, бо атрымліваю 200 тысяч рублёў пенсіі. Часам няма за што купіць хлеба. Лічу што малакроўе ў маіх дзетак ад непаўнацэннага харчавання. Але ж я невінаватая, што зарплату мужу, які працуе ў калгасе, не даюць пяты месяц. Дапамогу на дзяцей, прызначаную на месяцы работы мужа, не выплачваюць болей як паўгода. Куды я толькі не звярталася за падтрымкай — у сельсавет, у школу, у раён. Адказ адзін — няма грошай! Я б можа вам не пісала, каб не трывога за здароўе дачушкі. Не, я не прашу адправіць яе за мяжу. Прашу толькі грошай на лекі і вітаміны.

І яшчэ адна бяда. Мае старэйшыя дзеці заканчваюць вучобу ў школе, хочуць ехаць вучыцца далей. Як апрануць і абуць іх па-людску? Дапамажыце, чым зможаце, вельмі прашу..."

Валянціна Шыла з вёскі Крайск Лагойскага раёна

Ніколі не пісалі ў газету, але не вытрымалі такой крыўды. Мы з мужыком выпісваем газету „Звязда", часопіс „Хозяин", слухаем яшчэ радыё, глядзім тэлевізар і знаёмы з указамі Прэзідэнта аб выплаце пенсій пенсіянерам.

Але ў нашым раёне ў апошнія месяцы 1995 г. і 4 месяцы сёлетняга перанеслі выплату пенсій па графіку на 2 дні пазней: з 1 на 3, з 2 на 4, з 3 на 5 і г.д. А на самай справе выплачваюць апошнім за красавік у маі. У магазін прывозяць тавары, але мы не можам іх набыць — няма грошай. Затое з сельскіх магазінаў загадана везці грошы ў Вілейку і здаваць у банк. Потым іх з Вілейкі не даюць на выплату пенсій. Чаму ж мясцовыя ўлады раёна ігнаруюць указ Прэзідэнта аб своечасовай выплаце пенсій насельніцтву, асабліва састарэлым, якім больш за 70 гадоў? Яны ж жывуць толькі на пенсіі, бо кароў і свіней не трымаюць па стану здароўя. У нас няма грошай, каб газету выпісаць. Просім як-небудзь пасадзейнічаць нам.

Падпісалі пенсіянеры з в. Сліпкі Рабунскага сельсавета Вілейскага раёна

P. S. *Просім наша прозвішча не ўказваць, баімося, каб не пачалося ганенне.*

Як выжыць?

Галоўнае пытанне сёння: „Як выжыць?" Калі раней інтанацыйна яно гучала крышачку мякчэй („Як пражыць?" ці „Як цяжка пражыць на малую зарплату..."), то сёння ўжо і слёзы на вачах у пенсіянераў, якім, адпрацаваўшы за сорак, а то і болей гадоў, даводзіцца лічыць капейкі ва ўласным кашальку. Сустракаючыся са старымі людзьмі, нават няёмка кідацца ў роспыты. Бо ведаеш: адказы будуць горкія і сумныя. Прасцей, здаваался б, падысці да чалавека маладзейшага, інтэлігентнага ўжо на адзін выгляд.

Вось і задалі першае пытанне Іва-

ну Сцяпанавічу Курбеку, старшаму навуковаму супрацоўніку Літаратурнага мемарыяльнага музея Якуба Коласа.

— Вы пенсіянер?

— Так. Але працую, як вы ўжо ведаеце. Хіба ж на 530 тысяч можна пражыць? Ды і зарплата музейная невялікая. Інтэлігенцыя якраз не ў пашане. Але ж вось як разам скласьці пенсію і зарплату, то ў два разы болей атрымаліваецца. Таму скажу па вялікаму сакрэту для ўсіх чытачоў „Звязды": трымаюся за працу як ніколі.

Наступны субяседнік — таксама араты культурнай нівы Іван Іванавіч Сакольчык, загадчык Навапольскага дома культуры, што ў Пухавіцкім раёне:

— Што атрымліваю? Слёзы, а не грошы. Крыху болей як паўмільёна. Але як пагляджу, як мала атрымліваюць і ў калгасе, то надта і не смуткую. Трэба ж неяк жыць. Выжыць дапамагае гаспадарка, ды і агарод таксама.

Наш чарговы субяседнік — Ціхаміраў Васіль Лявоньевіч, старшы навуковы супрацоўнік Інстытута тэхнічнай кібернетыкі!

— Вы пытаецеся пра заробак? У красавіку ён быў з усімі налічэннямі каля мільёна „зайцаў". У маі знізілі да 0,6 стаўкі. Авансу пакуль не было, зарплаты таксама не атрымліваў. Шчыра кажучы, мяне падтрымлівае толькі вайсковая пенсія, але яе памеры, выбачайце, называць не буду. Так што сацыяльны статус свой акрэслю як сярэдні.

Сустрэліся мы таксама і з рабочай Мінскага трактарнага завода Людмілай Леанідаўнай Галавашка.

— Зараз працуем без прастояў, што вельмі радуе, хоць нейкія грошы атрымаем. За красавік, праўда, было небагата — каля сямісот тысяч. Напрыканцы мая адбудзецца свята — паўвекавы юбілей ад дня стварэння МТЗ, можа, што-небудзь і падкінуць. Узровень жыцця, вядома, змяніўся, і не ў лепшы бок.

А яшчэ адна з нашых выпадковых субяседніц не прадставілася. Відавочна, што пенсіянерка. Толькі сказала (гутарылі мы ў прадуктовай краме): „Лічу вось апошнія грошы. З бояззю заглядваю ва ўласны кашалёк..."

*

Называць сваё прозвішча і ўказваць адрас не буду, каб не забілі і не абрабавалі бандыты.



Вёска на Палессі **Фота Юркі Асенніка**

Я — кандыдат навук. Ведаю беларускую, рускую, англійскую, польскую і нямецкую мовы. Убачыўшы, што мой інтэлект абкрадваюць дзяржава, усялякія жулікі і прайдзісветы, узяла свой лёс ва ўласныя рукі. Пакінула нікому непатрэбную навуку і занялася, як тысячы іншых галодных і паўгалодных, бізнесам. Пачала з Польшчы, а затым сваю геаграфію расшырыла на ўсё ўсходняе паўшар'е, чаму спрыяюць веданне моў і рынку, мая дзелавітасць, інтэлігентнасць і прыгажосць. Са мной усе любяць мець справу. Ніколі ні ў кога я не бяру ніякіх распісак, дагавораў, іншай грашова-юрыдычнай дакументацыі. Сапраўдныя бізнесмены працуюць па-джэнтльменску — на словах. Дзяржаве я нічога не плачу, бо і яна мне нічога не дае і не дала... За некалькі гадоў я зарабіла больш як мільярд рублёў і 100 тысяч даляраў.

Але гэтыя грошы я ў беларускіх банках не трымаю. Жулікі абдзіраюць банкі, а банкі ў сваю чаргу — так званых фізічных асоб: і з даходу —сабе 95 працэнтаў, а ўкладчыку — толькі каля 5. А мае грошы працуюць на мяне поўнасцю. Я ведаю, каму іх пазычыць, і што за гэта буду мець. Усе нашы банкі — гэта мыльныя бурбалкі. Галоўны злодзей — дзяржава.

Сама я жыву ў дастатку, але не ў раскошы. Дзелавым людзям раскашаваць не прыходзіцца. Трэба спадзявацца не на ўрад, на любоўнікаў і чыноўнікаў, а на саміх сябе. Бярыце прыклад з мяне — будзеце самі вяршыцелямі свайго лёсу.

■ Z ŻYCIA CERKWI

Białystok-Jabłeczna

● Bractwo Młodzieży Prawosławnej zorganizowało tradycyjną pieszą pielgrzymkę z Białegostoku do monasteru Św. Onufrego w Jabłecznej. W ciągu siedmiu dni pielgrzymi przeszli 200 km, modląc się w Zabłudowie, Bielsku Podlaskim, Milejczycach, Mielniku, Kobylanach i innych miejscowościach. 25 czerwca dotarli do celu, gdzie wzięli udział w nabożeństwach świątecznych.

Białystok

● Rada Miasta zadecydowała, że jeszcze w tym roku zostanie zainstalowane specjalne nocne oświetlenie ważniejszych obiektów Białegostoku. Wśród nich znalazł się m.in sobór św. Mikołaja przy ul. Lipowej.

● Niepubliczny Zakład Opieki Zdrowotnej, funkcjonujący od kilku miesięcy przy parafii Hagia Sophia przy ul. Trawiastej na Wygodzie, ma coraz więcej pacjentów. Został zorganizowany przy pomocy finansowej Światowej Rady Kościołów i zatrudnia lekarzy specjalistów kilku dziedzin (m.in. okulista, kardiolog, stomatolog). Jedna wizyta kosztuje 10 zł. W ramach ZOZ-u działa również siłownia ze sprzętem do zajęć rehabilitacyjnych.

Bielsk Podlaski

● Uczestnicy IV Spotkań „Zorki" w dniach 1-2 czerwca wykonali kolejny krzyż z własnoręcznie pomalowanymi ikonami białoruskich świętych. Krzyż został poświęcony i ustawiony na placu Szkoły Podstawowej Nr 3.

Obrady Bractwa



Integracja i umacnianie więzi wiernych, w szczególności inteligencji, z Cerkwią prawosławną jest głównym celem Bractwa Prawosławnego św.św. Cyryla i Metodego, powstałego ponad siedem lat temu. 22 czerwca odbyło się w Białymstoku III Walne Zebranie delegatów tej organizacji, podsumowujące ostatnie trzy lata działalności. Ponad trzydziestu uczestników rozpoczęło spotkanie udziałem w Liturgii Świętej, celebrowanej przez J.E. abp Sawę i duchowieństwo parafii św. Ducha na Antoniuku.

Szczególnie w części popołudniowej obrady były żywe, padało wiele, często kontrowersyjnych, wypowiedzi. Wydaje się, że zbyt mało miejsca poświęcono ciekawemu sprawozdaniu z działalności organizacji w latach 1989-1995, zamieszczonemu w „Biuletynie Informacyjnym", który jako materiał pomocniczy otrzymał każdy uczestnik. Wiele zawartych tam spostrzeżeń nadal jest aktualnych. Organizacja nie wypracowała jasnych, zrozumiałych i atrakcyjnych form pracy. Brakuje motywacji do konkretnych działań. Stąd dużo do myślenia daje stwierdzenie przewodniczącego Bractwa, prof. Michała Małofiejewa, że wśród działaczy „przeważa wielosłowie, po czym stagnacja i marazm".

Wśród zebranych przeważały osoby od wielu lat przejawiające zainteresowanie działalnością społeczną; nie było natomiast byłych działaczy Bractwa Młodzieży Prawosławnej i młodzieży wcześniej nie zrzeszonej.

Jaskółką godną odnotowania jest bezinteresowna, wieloletnia społeczna praca pani Haliny Koleśnik, która z rąk J.E. abp Sawy otrzymała order św. Marii Magdaleny III stopnia. Działalność kiosku Bractwa, zlokalizowanego na terenie cmentarza przy ul. Wysockiego 1, prowadzonego przez panią Halinę, jest praktycznie jedynym źródłem dochodów finansowych organizacji. Istotnym przejawem aktywności społecznej jest, żywa w ostatnim okresie, działalność charytatywna innej bliźniaczej organizacji — Bractwa św. Mikołaja.

Dyskusję zdominowała kwestia wypracowania stanowiska inteligencji prawosławnej wobec aktualnych zagadnień społecznych i kulturalnych. Wiele miejsca w wystąpieniach zajął problem używania języków w liturgii, kazaniach oraz codziennej działalności Cerkwi. Wszyscy występujący byli zgodni, iż zachowanie języka staro-cerkiewno-słowiańskiego nabożeństw jest konieczne ze względu na potrzebę ochrony odrębności kulturowej i religijnej prawosławnych na Białostocczyźnie. Stwierdzano, iż należy położyć duży nacisk na edukację młodzieży i ogółu wiernych oraz nauczanie języka liturgicznego. Szczególnie akcentowali to w wypowiedziach Bazyli Chomicz, Aleksander Sołowianowicz i Mikołaj Hajduk. Dyskutanci podkreślali, że niepolska przynależność narodowa części wiernych zachowała się dzięki Cerkwi prawosławnej. Niestety, zabrakło głosu, iż zależność ta jest obustronna: prawosławie na Białostocczyźnie w XX wieku zachowała ludność białoruska, w większości słabo wykształcona, jednak pielęgnująca tradycyjne wartości, takie jak religijność, język ojczysty, obrzędowość. Niezauważanie tego jest poważnym błędem, szczególnie obecnie, gdy zrywane są więzi nie tylko z tradycyjnym miejscem zamieszkania — wsią, ale również wartościami określanymi jako narodowe i duchowe.

Pracą nowego, siedemnastoosobowego Zarządu Głównego, którego skład niewiele się zmienił od trzech lat, kierować będzie ponownie prof. Michał Małofiejew. Za najważniejsze zadania nowy Zarząd uznał m.in. konieczność aktywizacji inteligencji z innych, poza Białymstokiem, ośrodków miejskich, organizację trzech konferencji historycznych, reaktywowanie Wszechnicy Myśli Prawosławnej, wypracowywanie stosunku prawosławnych do najistotniejszych problemów współczesnego życia religijnego i społecznego.

Wiesław Choruży
Fot. Walenty Pacewicz

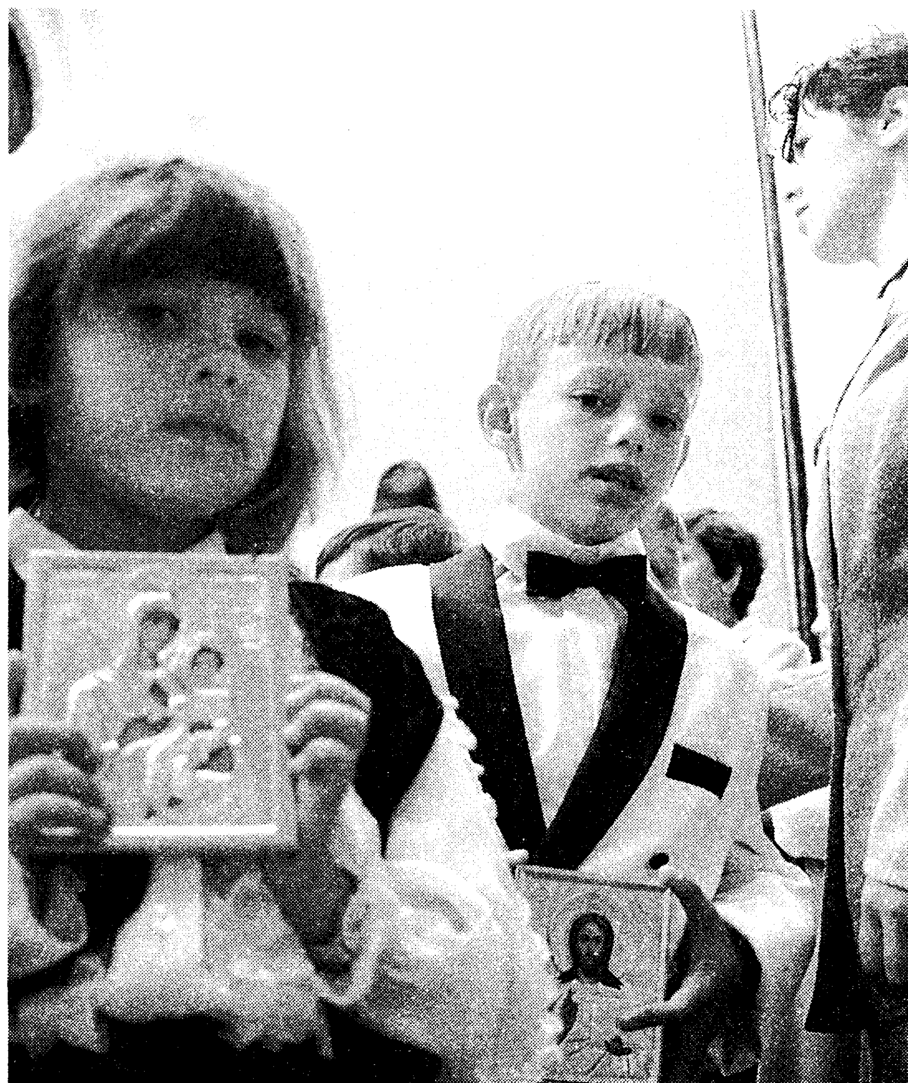
Przez niemałą część prawosławnych Bractwo jest postrzegane jako organizacja tradycjonalistyczna i konserwatywna. Z definicji działająca na polu religii — jest porównywana do katolickiego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. I o ile wątek chrześcijański jest przez Bractwo odpowiednio i umiejętnie akcentowany, to podejście do spraw narodowych trudno do końca rozszyfrować.

I tak np. podczas obrad padały głosy postulujące wprowadzenie do ramówki Polskiego Radia Białystok audycji rosyjskojęzycznej. Wcześniej z ust niektórych aktywistów słyszało się propozycje, aby po prostu zamienić audycje białoruskojęzyczne na rosyjskojęzyczne. Wszystko to dla, jak powszechnie wiadomo, „bardzo licznej w naszym regionie rosyjskiej mniejszości narodowej". Z drugiej strony, w ścisłym kierownictwie tej ogranizacji od wielu lat przewija się co najmniej kilka znanych nazwisk działaczy białoruskich starszego i średniego pokolenia. Im, jak się okazuje, podobne pomysły współczłonków wcale nie przeszkadzają.

Moja chata s kraju, i ja nyć ne znaju?

red.

Першая споведзь



Было гэта ў незвычайны як на канец чэрвеня, халодны і дажджлівы вечар. Для адных пачаліся канікулы, для іншых мелі неўзабаве пачацца. Як кожны, і я рабіў сабе планы на летнія месяцы: што, куды і з кім? Сярэдзіна ліпеня была занята на Гарадок, але не думаў я, што траплю сюды яшчэ перад „Басовішчам". У Беластоку я сустрэў старога сябра з Гарадка, які расказаў мне пра незвычайную падзею, якая праз некалькі дзён мела адбыцца ў гарадоцкай царкве. Пішу „незвычайную", таму што з „першай споведдзю" меў я сустрэцца ўпершыню. Закончыў я Вышэйшую духоўную семінарыю, вучыўся на тэалагічным факультэце, але пра такое не чуў ніколі. Пытаўся знаёмых: „Ці вы чулі, што ў Гарадку...", а яны мне на тое: „Так, і ў нас у Беластоку ў Фастах такое робяць." Я аслупянеў. Пачаў пытацца ў свяшчэннікаў, гартаць кнігі, але нідзе адказу не знайшоў. Найбольш напісаў пра гэта Булгакаў у „Настольнай кнізе": „Да сямі гадоў дзеці прычашчаюцца без споведзі". У маім прыходзе выглядае гэта так, што бацькі ўпершыню прыводзяць дзяцей да споведзі ў канцы жніўня, перад тым, як пойдуць у школы. Пытаўся я ў сваёй мамы — так было і са мной. У нашай царкве адбываецца гэта вельмі ціха і скромна. Не здараецца так, каб нехта, як у Гарадку **ў суботу 29 чэрвеня**, купляў з гэтай нагоды белыя боцікі.

Дзень быў душны, але без сонца. Навокал царквы было поўна аўтамашын, а дзе-нідзе стаялі мужчыны, што выйшлі перакурыць. У царкве народу столькі, як у фэст. Ужо ў дзвярах сляпілі ў вочы бліскі пражэктараў і фоталямпаў. Наперадзе, перад іканастасам, стаяла група 34 дзяцей. Адчувалася свята. Падумаў я, што гэта вельмі добра, што бацькі так сур'ёзна падыходзяць да ўвядзення сваіх малечаў у жыццё царквы. З другога боку, наводзіла на мяне сум уся цырымонія: беленькія касцюмікі, сукенкі з вэлюмікамі — усё гэта нагадвала „першую камунію". Была ўсё ж у мяне надзея, што бацькі выведуць мяне з маіх, мабыць, няправільных думак.

— Cieszymy się bardzo, że już wprowadzają to do cerkwi. A czemu prawosławne dzieci mają być gorsze? Czy zawsze musimy być takie cudaki, zawsze inaczej od wszystkich?

— Dla nas to przede wszystkim święto. Sądzę, że jest bardzo fajnie... Oczywiście, że to przypomina pierwszą komunię, i bardzo dobrze. W końcu Cerkiew i Kościół są do siebie takie podobne! Trzeba zacierać te różnice, żeby nie było konfliktów.

Прозвішчаў маіх размоўцаў не прыводжу невыпадкова. Некаторыя аб гэтым і прасілі. Гарадок — малая мясціна, і няма ў мяне намеру дадаткова ўскладняць некаторым жыццё. Прыводжу таксама толькі некаторыя выказванні — на маю думку — найбольш цікавыя. Некаторыя размовы датычылі выключна духовага зместу падзеі, а не яго формы. Для вялікай большасці візуальнае афармленне заставалася малаістотнай справай. Траплялiся, аднак, выказванні, зусім іншыя ад ранейпрыведзеных.

— Niestety, forma i wizualna oprawa demaskują naiwne naśladowanie pierwszej komunii w Kościele katolickim. Moim zdaniem, wynika to z kompleksów. Odbywa się to jakby na siłę, nienaturalnie. Nie rozumiem, po co z sakramentu robić okazję do rodzinnej imprezy. Wydaje się, że tracimy to, co świadczy o naszej inności. W końcu mamy własną tradycję, obrzędowość. Małżeństwa mieszane, innowierni rodzice chrzestni, to wszystko zdążyło spowszednieć. Przede wszystkim widzę w tym niebezpieczeństwo duchowej asymilacji.

— Хто гэта бачыў, каб дзеці ішлі адзетыя ў царкву, як у касцёл! Колькі бацюшка паўтараў, каб было скромна! Гэта ж проста зрэзана ад каталікаў. Але што, адмовішся? Закрачуць цябе ў такім Гарадку. Калі б я жыў у Беластоку, то завёў бы дзіця ў першую лепшую нядзелю да споведзі і не рабіў бы з гэтага ніякага цырку. Цяпер уводзяць тое, зараз захочуць бацюшку пабрыць, а наканец крыж „выпрастуюць". То ж ужо ў вялікіх гарадах служаць папольску і святкуюць разам з палякамі.

На канец я звярнуўся да святара, айца Мікалая Астапчука. Гутарылі мы доўга.

— З „першай споведдзю" сустрэўся я даўно, — тлумачыў мне святар, — яшчэ на захадзе Польшчы. Бачыў гэта і тут, у Фастах. Бачылі гэта і іншыя прыхаджане. Спадабалася ім, і захацелі ўводзіць такое і ў нас. Зараз не ўяўляю сабе, каб ім адмовіць. Увесь час прашу, каб усё адбывалася сціпла, каб не куплялі гэтых вэлюмаў ды іншага. Праўда, паяўляецца шмат лішніх элементаў, якія трэба ліквідаваць. Тут уся адказнасць на мне. Маю дазвол ад Уладыкі і засцярогу, каб быць асцярожным. Дзіця ўваходзіць у актыўнае жыццё, пачынае свядома ўдзельнічаць у багаслужбе, становіцца роўнапраўным членам Царквы. Не можам дазволіць, каб нават на хвіліну была забыта гэтая адзіная мэта першай споведзі. Інакш можам сапраўды зрабіць нешта дрэннае. Вельмі рэальна можа стаць перад намі пагроза латынізацыі. .

Гарадок я пакідаў усё ж з сумам. Лягчэй трохі стала, калі я яшчэ раз усё перадумаў і прыгадаў, што чуў ад многіх раней, што ў Беластоку такі абычай, як „першая споведзь", неяк не прыймаецца.

Юрка Асеннік

Фота аўтара

8 lipca na kolejną dyskusję redakcyjną zaprosiliśmy Siergieja Plewę, posła Ziemi Białostockiej z Sojuszu Lewicy Demokratycznej.



Siergiej Plewa, ur. w 1940 r. w Łosince, tam ukończył szkołę podstawową. Naukę kontynuował w Technikum Elektrycznym w Białymstoku. W 1958 r. podjął pracę w Zakładzie Energetycznym, gdzie pracował do 1979 r., kiedy przeniósł się do Spółdzielni Mieszkaniowej Słoneczny Stok, której do dziś jest prezesem.

Z żoną Alicją (pielęgniarka, obecnie na rencie) mają dwie córki i pięcioro wnuków.

O „Niwie", gospodarce, polityce i Białorusi

Jerzy Chmielewski: — Jako poseł Ziemi Białostockiej w Sejmie reprezentuje Pan także mniejszość białoruską. Tak wynika z pańskich deklaracji oraz z opinii niektórych środowisk społecznych i politycznych. Tymczasem nie wszyscy Białorusini z tym się zgadzają. Czyich zatem interesów Pan broni?

Siergiej Plewa: — Reprezentowanie w Sejmie interesów mniejszości białoruskiej zadeklarowałem na jednym z plenów Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Powiedziałem, że mogę i chciałbym to robić. Moja propozycja nie napotkała sprzeciwu, co nie znaczy, że uzyskałem przyzwolenie wszystkich Białorusinów, gdyż posłem zostałem wybrany nie z rekomendacji mniejszości, a z ramienia Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, wchodzącego w skład Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Swoich poglądów lewicowych nigdy nie ukrywałem, ale przy reprezentowaniu mniejszości białoruskiej, do której się poczuwam, próbuję odrzucić wszelkie elementy polityczne. Przede wszystkim staram się pozyskać jak najwięcej środków z Ministerstwa Kultury i Sztuki na rozwój kultury białoruskiej w naszym regionie. Zabiegam o fundusze na budowę i wspieranie szkolnictwa białoruskiego i prasy białoruskiej.

J.Ch.: — W działalności wydawniczej od lat borykamy się z trudnościami finansowymi. W tym roku obserwujemy wprawdzie pewną poprawę, ale nie wiadomo jak będzie w roku przyszłym. Czy jest szansa na uregulowanie tych spraw na dłużej niż jeden rok?

S.P.: — Aby uporządkować problemy finansowe wydawnictw mniejszości narodowych, należy uwzględnić i to, jak te środki są wykorzystywane. Nie można bowiem marnotrawić pieniędzy budżetowych na uprawianie zaściankowej polityki. Dotyczy to również prasy białoruskiej.

J.Ch.: — „Czasopisu"?

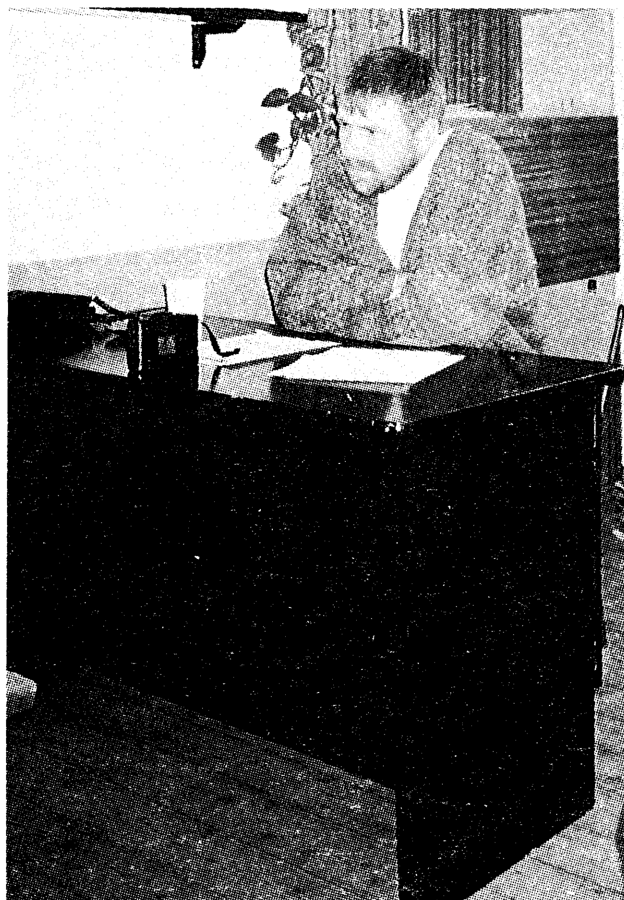
S.P.: — Raczej „Niwy". Ta gazeta jest mało poczytna, a na jej wydawanie idą duże pieniądze. Tymczasem niektórzy dziennikarze robią problem polityczny z tematów, których właściwie nie ma. Wychwytują jakieś drobne niedociągnięcia, głównie w działalności Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego i potem to rozdmuchują. „Niwa" niejednokrotnie atakowała mnie osobiście; ostatnio za to, że na jednym z posiedzeń sejmowej komisji do spraw mniejszości narodowych postulowałem, żeby dotację dla niej utrzymać na poziomie roku 1995. Nie poproszono mnie nawet o wyjaśnienia. Zresztą, wcześniej też ani razu redakcja nie zwróciła się do mnie o wypowiedź.

Jerzy Kalina: — Pańskie postulaty odnośnie ograniczenia dotacji dla „Niwy" przez redaktorów tej gazety oraz środowisko skupione wokół Związku Białoruskiego w RP są postrzegane jako poparcie dla BTSK. Władze tej organizacji, od kiedy „Niwa" przestała być jej organem, są w konflikcie z redakcją. Z tego wynika, że w tym sporze opowiada się Pan po stronie BTSK, pogłębiając podziały w środowisku.

S.P.: — Rzeczywiście można odnieść takie wrażenie. Nie byłoby jednak tego tematu, gdyby „Niwa" publikowała ciekawe artykuły i była chętniej czytana. Nie może być tak, że nakład maleje, a dotacja budżetowa rośnie. I to jest główny powód wypowiadania przeze mnie od czasu do czasu negatywnych opinii na temat tego tygodnika.

J.Ch.: — Uważam, że dyskutowanie o „Niwie" bez udziału jej redaktorów jest grą nie całkiem fair. Jesteśmy w redakcji „Czasopisu", ale nie rozmawiajmy może o nas, lecz o pańskiej działalności w Sejmie. Myślę tu o działaniach, które mogłyby polepszyć życie mieszkańców wschodniej Białostocczyzny, czyli naszych czytelników.

S.P: — Ramy rozwoju gospodarczego naszego regionu, tak jak całego kraju, są ściśle określone i my — posłowie Sojuszu Lewicy Demokratycznej — niewiele tu możemy zmienić. Jesteśmy w tym zgodni także z posłami z ugrupowań opozycyjnych z naszego regionu. Niemniej jednak wiele gmin przez ostatnie trzy lata nie zwróciło się do mnie z żadną propozycją lub postulatem do władz centralnych. Trudno więc na siłę komuś pomagać. Ale jeśli, przykładowo, Hajnówka składa swoje wnioski o dotację w



Jerzy Chmielewski: — Czy rządy obecnej koalicji sprawią, że poprawi się poziom życia mieszkańców wschodniej Białostocczyzny?



Jerzy Sulżyk: — Nasze postulaty, jak na razie, pozostają bez echa. **Siergiej Plewa**: — Nie interweniowałem, bo nikt mnie o to nie prosił.

funduszach ministerialnych i nas o tym informuje, to moim zadaniem jest uczynić wszystko, aby te starania wesprzeć. W ten sposób pomogłem zakładom „Karo” i „Elwa” w Bielsku Podlaskim oraz białostockiemu „Biazetowi”. Ostatnio byłem na miłym spotkaniu w Juchnowcu z okazji jubileuszu straży pożarnych, na którym wypłynęło kilka tematów gospodarczych. Jedną ze spraw, którą podjąłem, były zbyt częste przerwy w dostawie energii elektrycznej we wsi Złotniki. Problem dotyczy mojej dawnej branży, gdyż dwadzieścia lat przepracowałem jako energetyk. Napisałem więc odpowiednie pismo do Zakładu Energetycznego w Łapach, aby przyczyny przerw w dopływie prądu zostały sprawdzone. Mógłbym przytoczyć więcej przykładów, ale trudno mi relacjonować każdy dzień swojej pracy.

J.Ch.: — Czy rządy obecnej koalicji sprawią, że poprawi się poziom życia mieszkańców wschodniej Białostocczyzny?

S.P.: — To, że mamy swego premiera, jest wielką szansą. Żeby ją wykorzystać, powinniśmy mieć sprecyzowane życzenia. Bo właśnie teraz powstała możliwość, aby nasz region poszedł wreszcie do przodu. Podkreślam jednak, że powinniśmy wiedzieć, czego chcemy.

Jerzy Sulżyk: — W sprawach gospodarczych trudniej nam się wypowiadać niż w sferze kultury. Od kilku lat postulujemy powołanie Centrum Kultury Białoruskiej oraz popieramy usamodzielnienie Filii Uniwerystetu Warszawskiego w Białymstoku, licząc na utworzenie centrum badań białorutenistycznych. Te postulaty, jak na razie, pozostają bez echa.

S.P.: — Jeśli chodzi o uniwersytet, to my — wszyscy posłowie Ziemi Białostockiej — zmagamy się o to wspólnym frontem. Do spełnienia wszystkich warunków, niezbędnych aby ta placówka powstała, brakuje już naprawdę niewiele. Projekt odpowiedniej ustawy został już opracowany, miał ją pilotować i być posłem-sprawozdawcą Włodzimierz Cimoszewicz. Nowym posłem-sprawozdawcą będzie prawdopodobnie marszałek Aleksander Małachowski. Ta sprawa została przyhamowana również z winy samej uczelni. Wydaje mi się, że do pomyślnego jej zakończenia już blisko, ponieważ nawet przy większej ilości niespełnionych warunków były podejmowane uchwały o usamodzielnieniu filii wyższych uczelni.

Natomiast na temat Centrum Kultury Białoruskiej nie mam swego zdania. Do tej pory interesowałem się sprawą naszego muzeum w Hajnówce. Cieszę się, że wreszcie zostanie ona pomyślnie rozwiązana. A jak będzie z Centrum Kultury Białoruskiej, trudno mi powiedzieć, gdyż ten postulat od czasu do czasu się pojawia, a potem gaśnie.

J.K.: — Bo nigdy nie było odpowiedzi na pisma wysyłane w tej sprawie przez organizacje białoruskie.

S.P.: — Być może. Ja nie podejmowałem żadnych interwencji, ponieważ nikt mnie o to nie prosił.



Jerzy Kalina: — Czy w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych SLD na swej liście wystawi kogoś z działaczy organizacji białoruskich?

J.K.: — Powiem z kolei nie o życzeniach, ale o zarzutach. Od kilku lat Pan i pańscy koledzy z Sojuszu Lewicy Demokratycznej bardzo aktywnie uczestniczycie w festynach ludowych organizowanych przez Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. W związku z tym pojawiły się zarzuty, że przy okazji tych imprez ubijacie panowie własny interes polityczny, prowadząc agitację i kampanię wyborczą.

S.P.: — Nie było takiego przypadku, aby na jakimkolwiek koncercie, w którym uczestniczyliśmy, wystąpiły akcenty polityczne. Ostatnio byłem inicjatorem festynu w swojej rodzinnej miejscowości, Łosince. Ale to nie względy poli-

tyczne sprawiły, że taka impreza tam się odbyła. Rok temu byłem na festynie w Augustowie k. Bielska Podlaskiego i pomyślałem: czy Łosinka ma być gorsza?

J.Ch.: — Skoro ma Pan takie możliwości...

S.P.: — Nie ukrywam, że ofiarowałem skromny datek pieniężny. Do Łosinki zaprosiłem także mego kolegę, posła Stanisława Maliszewskiego, aby imprezie nadać większą rangę. Owszem, powiedziałem kilka słów do zgromadzonych mieszkańców, ale nie była to żadna agitacja polityczna. Pozdrowiłem ich w ojczystym, białoruskim dialekcie, życząc miłej zabawy. Ot i cała polityka. Podobnie było w przypadku innych festynów, na które nas zapraszano. Przyznaję, że przykro mi się zrobiło, gdy ostatnio jechałem na Noc Kupały do Białowieży. Przejeżdżałem przez Narew, gdzie była organizowana podobna impreza. Chętnie bym się zatrzymał, ale — jako osoba publiczna — byłbym przecież nieproszonym gościem. Do tej pory nie otrzymałem żadnego zaproszenia od innych niż BTSK organizacji białoruskich. A nasze imprezy bardzo lubię i na pewno z takiego zaproszenia bym skorzystał. Pragnę zauważyć, że na festynach białoruskich bywają też posłowie z innych ugrupowań — Artur Smółko z Unii Pracy czy Adam Czesław Dobroński z Polskiego Stronnictwa Ludowego. I nie mówi się o nich, że uprawiają w ten sposób jakąś politykę.



Siergiej Plewa: — Bardzo lubię nasze imprezy

J.Ch.: — Nie wszystkich posłów chwalą jednak z trybuny. Na ostatnim Święcie Kultury Białoruskiej w białostockim amfiteatrze prowadząca, pani Walentyna Łaskiewicz, sekretarz Zarządu Głównego BTSK, wyraźnie zaapelowała do publiczności, aby „pamiętała, kiedy będzie trzeba o takich posłach jak pan Siergiej Plewa".

S.P.: — Te słowa padły jedynie ze względu na moją inicjatywę zorganizowania festynu w Łosince.

J.S.: — Ostatnie wybory parlamentarne i prezydenckie dowiodły, że we wschodnich gminach naszego województwa SLD zdobywa największą ilość głosów. Czy to potwierdza lewicowe tradycje tego regionu?

S.P.: — Program SLD w naszym województwie się sprawdza. Jak mało który w kraju, ten region potrzebuje ochrony socjalnej, będącej dla Sojuszu Lewicy Demokratycznej priorytetem. Inne siły polityczne po prostu się nie sprawdziły, gdy były przy władzy, dlatego nas a nie ich poparli mieszkańcy.

J.K.: — Czy w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych Sojusz Lewicy Demokratycznej na swej liście wystawi kogoś z działaczy organizacji białoruskich?

S.P.:— To będzie zależało od samych organizacji.

J.K. — A czy to ma sens?

S.P.: — Myślę, że tak. Oficjalne przedstawicielstwo w parlamencie naszej mniejszości jest bardzo ważne. Dlatego zmobilizowali się Niemcy, swego posła mają też Ukraińcy.

J.K.: — Ukraińcy skorzystali z grzeczności Unii Wolności.

S.P.: — A czy my nie możemy również skorzystać z grzeczności jakiegoś ugrupowania?

J.Ch.: — Proponuję, aby na zakończenie naszej rozmowy wymienić poglądy na sytuację polityczną w Republice Białoruś. Jak Pan ocenia ostatnie poczynania prezydenta Aleksandra Łukaszenki?

S.P .: — Ja podchodzę do tych spraw bardzo ostrożnie. Nie można z taką stanowczością, jak powiedzmy w „Niwie", potępiać polityki władz tego kraju, gdyż w tej sprawie wypowiedział się przecież naród. Nieważne, czy zrobił to mniej lub bardziej świadomie, pod wpływem propagandy czy bez, ale wolę obywateli sąsiedniego państwa należy uszanować. Nam — obywatelom Polski — zawsze zależało, aby nikt obcy nie rozkazywał jak mamy postępować. Dlatego mniejszość białoruska powinna te problemy próbować łagodzić, a nie zaostrzać. Spalenie portretu Aleksandra Łukaszenki przed konsulatem Republiki Białoruś w Białymstoku nie spowoduje poprawy stosunków między naszymi krajami, a może tylko zaszkodzić.

J.Ch.: — Proszę zauważyć, że protestował cały świat.

S.P.: — Zaraz, zaraz, świat — to nie znaczy ludność świata. Proszę zwrócić uwagę, kto protestował w Białymstoku. Byłem niedawno w Sofii na spotkaniu prawosławnych parlamentarzystów krajów europejskich, gdzie rozmawiałem z deputowanymi białoruskimi. Oni krytykowali swego prezydenta, głównie za poniżanie języka ojczystego i własnej kultury, ale spalenie portretu Łukaszenki uznali za niedopuszczalne w dobie demokracji. Oni w swym kraju podchodzą do polityki bardzo spokojnie i rozważnie. I ja to cenię, gdyż jestem zwolennikiem kultury politycznej, a nie przejawów nienawiści i wrogości, a za taki można uznać palenie portretu. Doskonale też rozumiem oburzenie konsula Michała Slamniowa, którego spotkała taka przykrość.

J.Ch.: — Konsul jest oficjalnym przedstawicielem Republiki Białoruś i nie może wyrażać innych postaw niż lojalne wobec swoich zwierzchników. Ale Białorusini, dla których wartości patriotyczne są ważne, odczuwają poważne zagrożenia, jakie niesie polityka obecnego prezydenta. A my — też Białorusini — na te obawy nie możemy pozostawać obojętni.

S.P.: — Podzielam pański pogląd. W Republice Białoruś rzeczywiście występują przypadki łamania praw człowieka, ale protestować przeciwko temu trzeba w sposób kulturalny i pokojowy.

opr. (jc)
Fot. Redakcja

Przedszkole „nawiedzonych" rodziców

Z dyrektorem Przedszkola Samorządowego Nr 14 w Białymstoku, Ewą Szymańską, rozmawia Jerzy Kalina

***Jerzy Kalina:** — W czasie pierwszego spotkania rodziców, we wrześniu ubiegłego roku, część obecnych osób miała poważne obiekcje co do perspektywy uczęszczania ich pociech do polsko-białoruskiego przedszkola. Jak takie postawy ocenia Pani z perspektywy roku pracy?*

Ewa Szymańska: — O ile dobrze pamiętam, nie były to wątpliwości dotyczące zasadności, lecz sposobu wprowadzenia grup białoruskich. We wszystkich przedszkolach istnieją rady rodziców, będące organem doradczym, z reguły aktywnie uczestniczącym w jego pracy. W naszym przypadku, prawdopodobnie wskutek pośpiechu, rodzice, których dzieci wcześniej uczęszczały do tego przedszkola, dowiedzieli się o zmianach w ostatniej chwili. Ich początkową konsternację mógł również pogłębić fakt, iż we wrześniu spotkali się z nowym dyrektorem, to znaczy ze mną.

Jeżeli chodzi o jakiekolwiek obawy, to nie sądzę aby były one zasadne. Przynajmniej ja w ciągu roku pracy nie zauważyłam nic nagannego, co mogłoby zaniepokoić rodziców dzieci z oddziałów polskojęzycznych czy białoruskojęzycznych.

***J. K.:** — Czy w ciągu roku szkolnego miały miejsce jakieś nieprzyjemne incydenty, które mogły mieć związek z wprowadzeniem oddziałów białoruskich?*

E. Sz.: — Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że nie. Jeżeli już mamy mówić o nieprzewidzianych i znaczących wydarzeniach, to tylko w znaczeniu pozytywnym. Nie każde przedszkole jest odwiedzane np. przez ministra edukacji Białorusi, nie do każdego też regularnie zagląda ekipa Telewizyjnego Kuriera Kresowego. Dzięki pomocy konsula generalnego Republiki Białoruś w Białymstoku, pana Michała Slamniowa, razem z nauczycielkami mieliśmy okazję zapoznać się z pracą białoruskojęzycznego przedszkola w Mińsku.

Są to dla nas duże wyróżnienia, wiążące się jednak z jeszcze większą odpowiedzialnością za wykonywaną pracę.

A problemy wychowawcze z dziećmi w wieku przedszkolnym wszędzie są podobne.

***J. K.:** — Spotkałem się z opinią, że rodzice dzieci z oddziałów białoruskich są przewrażliwieni, nadopiekuńczy, a nawet „nawiedzeni" jeśli chodzi o organizację czasu swych pociech. Organizują zabawy, wyjazdy, zajęcia dodatkowe... Z drugiej strony od dawna większość rodziców traktuje przedszkole jak przechowalnię dzieci w czasie, gdy sami są zajęci pracą zawodową. Co Pani o tym sądzi?*

E. Sz.: — Nie mogę się zgodzić z drugą częścią Pana wypowiedzi. Moim zdaniem, rodzice nie angażujący się zbytnio w pracę przedszkola są przekonani, że oddają dzieci w dobre ręce. I my tego zaufania staramy się nie zawieść. Prawdą natomiast jest, że praca zawodowa absorbuje rodziców do tego stopnia, że czasu dla dzieci często nie starcza.


Podziwiam zaangażowanie rodziców dzieci białoruskich

Muszę przyznać, że podziwiam zaangażowanie rodziców dzieci z oddziałów białoruskich. To z ich inicjatywy i przy ich aktywnym współuczestnictwie odbyły się przedstawienia choinkowe i wiosenne, nawiązujące do białoruskich i prawosławnych tradycji, wyjazd na piknik do Topilca pod Białymstokiem. Przez cały rok dzieci mogły uczestniczyć w zajęciach dodatkowych: nauce języka angielskiego i włoskiego oraz zajęciach z rytmiki. Nie ulega wątpliwości, że harmonijne współuczestnictwo rodziców w procesie wychowawczo-dydaktycznym prowadzonym przez placówkę przedszkolną jest korzystne i potrzebne. Zarówno dzieciom, które mają możliwość poznania wielu nowych rzeczy i zjawisk, jak i rodzicom, którzy, jak podejrzewam, np. przy okazji przygotowań do przedstawień teatralnych bawili się równie dobrze jak ich pociechy.

Jeżeli mogę mieć jakąś uwagę na przyszłość, to tylko taką, że jako dyrektor całego przedszkola, w którym oprócz dwóch oddziałów białoruskich są trzy oddziały polskojęzyczne, chciałabym mieć na bieżąco kontakt z rodzicami i wiedzieć o ich inicjatywach. Zdarzało się bowiem, niestety, że dowiadywałam się o planowanych imprezach ostatnia.

***J. K.:** — Kto opracowuje program zajęć wychowawczo-dydaktycznych dla grup białoruskich?*

E. Sz.: — Zajęcia w tych grupach przygotowywały wychowawczynie. Zainteresowanie Kuratorium Oświaty i Wychowania sprowadziło się do wizytacji zajęć przez rejonową panią wizytator, która nie miała żadnych uwag. Z inicjatywy rodziców i nauczycielek, przy współpracy pani Doroty Misiejuk z Zakładu Edukacji Miedzykulturowej Wydziału Pedagogiki i Psychologii Filii Uniwersytetu Warszawskiego, jest opracowywany autorski program zajęć.

Oprócz specyficznych zajęć, np. nauki języka białoruskiego, wprowadzania elementów muzyki, tańców, folkloru, w grupach tych musi być również realizowany program obowązujący we wszystkich przedszkolach.



Przedszkolaki (grupa "maluchów") z oddziałów białoruskich na pikniku w Topilcu k. Białegostoku **Fot. Barbara Piekarska**

***J. K.:** — Inicjatorzy powołania białoruskiego przedszkola na początku zakładali powstanie osobnej placówki, do której uczęszczałyby tylko dzieci białoruskie. Niewystarczająca liczba chętnych oraz przeszkody biurokratyczne zadecydowały, że powstały dwa oddziały białoruskie prowadzone w typowym przedszkolu. Czy, Pani zdaniem, sensowne jest zabieganie o powołanie samodzielnego przedszkola białoruskiego?*

E. Sz.: — Z wychowawczego punktu widzenia na pewno nie. Dzieci w naszym przedszkolu czują się świetnie, nie mieliśmy żadnych problemów wychowawczych wynikających z faktu, że część wychowanków posługuje się językiem białoruskim. Myślę, że dążenie do zamykania się w takim „getcie" podyktowane jest raczej nieznanymi mi bliżej, subiektywnymi obawami rodziców, i to zarówno Białorusinów jak i Polaków. Ja takich postaw nie rozumiem i nie akceptuję. Uważam, że edukacja w przedszkolach wielokulturowych służy wychowaniu ludzi światłych i otwartych na inność, z którą będą się przecież stykać na co dzień w życiu dorosłym. W moim przekonaniu, dzieci o wiele lepiej zdały ten egzamin niż część rodziców.

***J. K.:** — Podczas pobytu w 1996 roku w Białymstoku sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych prezydent Białegostoku, Krzysztof Jurgiel, zadeklarował specjalną opiekę nad kierowaną przez Panią placówką. Na czym ona polegała?*

E. Sz.: — Rzeczywiście, gdy przejmowałam budynek na początku roku szkolnego, jego stan techniczny i wyposażenie pozostawiało wiele do życzenia. W tym też czasie Urząd Miasta sporo zainwestował w nasze przedszkole, np. w adaptację korytarza na dodatkową salę do zajęć. Trzeba też było zakupić dodatkowe wyposażenie, pomoce dydaktyczne, zabawki, uporządkować plac zabaw. Na tym jednak to się zakończyło. Kieruję typowym przedszkolem i obowiązuje mnie droga służbowa. Dlatego też nie zwracałam się do prezydenta ze specjalnymi życzeniami. Być może postępowałam niesłusznie.

Podejrzewam, że główny problem przedszkola, polegający na konieczności wykorzystania zaadaptowanego korytarza jako sali jednej z grup białoruskich, nie zostanie szybko rozwiązany. Niedogodność polega na codziennym przenoszeniu posiłków dla innych grup przez tę salę. Rozwiązaniem byłoby zamontowanie windy towarowej. Jest to jednak inwestycja rzędu kilkuset milionów starych złotych, których nie ma kto wyłożyć.

***J. K.:** — Oczekuję szczerej odpowiedzi. Załóżmy, że miałaby Pani do wyboru pracę w typowym przedszkolu oraz w tym, w którym obecnie Pani pracuje. Które Pani by wybrała?*

E. Sz.: — To dziwne pytanie. Ale cóż, jestem osobą ambitną, stąd zdobywanie nowych doświadczeń i pokonywanie trudności sprawia mi satysfakcję. Dlatego nie zamieniłabym się na inne przedszkole.

***J. K.:** — Dziękuje za rozmowę i życzę sukcesów w pracy.*

Rozmawiał Jerzy Kalina
Fot. autor

W kwietniu 1995 r. grupa rodziców zwróciła się do Prezydenta Miasta Białegostoku z prośbą o pomoc w organizacji dwujęzycznego, polsko-białoruskiego przedszkola samorządowego. Początkowy zamiar, aby powołać samodzielne przedszkole w osobnym budynku w centrum miasta, nie mógł być zrealizowany z powodu braku odpowiedniego lokalu. Pomimo wielokrotnych próśb rodziców, prezydent miasta ani wojewoda białostocki nie zaproponowali żadnej lokalizacji. Ostatecznie, 1 września 1995 r., w Przedszkolu Samorządowym Nr 14 przy Al. Piłsudskiego 20/4 rozpoczęły się zajęcia w dwóch oddziałach przedszkolnych. W roku szkolnym 1995/1996 systematycznie uczeszczało do nich ok. czterdzieścioro dzieci.

Bezinteresownej pomocy materialnej oddziałom białoruskim udzielili: Ministerstwo Edukacji Republiki Białoruś, Konsulat Generalny Republiki Białoruś w Białymstoku, „Danuta" spółka z o.o., firma „Saga", Roman Bojczuk, Piotr Juszczuk, Barbara i Mirosław Piekarscy, Walenty i Jolanta Sielwiesiuk, dr Mieczysław Wiśniowolski.

Joanna Pawluczuk

Letnicy



„Kupię drewniany dom do rozbiórki" — ogłoszenia podobnej treści ostatnio coraz częściej pojawiają się na przystankach autobusowych i tablicach ogłoszeniowych na płocie u sołtysów w wielu miejscowościach naszego regionu. Idąc śladem jednego z nich, pod koniec czerwca trafiłam do Lipowego Mostu w gminie Szudziałowo, w dawnym powiecie sokólskim.

— A.., to tam, pod lasem. Z rana samochód przez wieś przejeżdżał, to chyba kogoś pani zastanie — poinformowali mnie rolnicy, którzy w pośpiechu grabili siano. Na niebie pojawiły się kłębiaste chmury, a na twarzy czuło się chłodny wietrzyk. Znaczy: będzie padać. Aby zdążyć przed deszczem szybko podążyłam we wskazanym kierunku.

Domek z akwarium

Działka była jeszcze właściwie niezagospodarowana. Przy drodze stała tylko drewniana szopa, z której wystawały zwoje siatki ogrodzeniowej. — *Na wiosnę posadziłem trochę drzewek owocowych i przed zimą muszę postawić solidny płot, bo zjedzą je zające* — trzydziestoletni na oko mężczyzna, dziennikarz z Białegostoku, jak się później okazało, gdy dowiedział się o celu mojej wizyty, z chęcią zaczął opowiadać o swoim nowym zajęciu. — *Podobnie jak pani, trafiłem tu kiedyś, żeby zebrać materiały do reportażu o miejscowych rolnikach. Urzekły mnie kolorowe domki nad rzeką. Po tygodniu przyjechaliśmy z żoną na grzyby. Jej także tu się spodobało. Rześkie, zdrowe powietrze i malownicza okolica okazały się skutecznym magnesem. Zainwestowaliśmy tu skromne oszczędności.*

Świeżo upieczony letnik zaczął oprowadzać mnie po swojej posiadłości. — *Domek postawię nad samą rzeką. Mam bardzo fajny pomysł, by jedną ze ścian fundamentu wymurować w wodzie. Wstawię szczelne okno i będę mieć naturalne akwarium. Projekt znalazłem w jednym z zachodnich czasopism. Architekt przystosował go do miejscowych warunków. Zaraz pokażę.* Właściciel posesji udał się w kierunku samochodu. Zanim wrócił, niebo gwałtownie pociemniało, zaczęło grzmieć. Kropla po kropli zaczynało coraz mocniej padać. Schowaliśmy się do szopy. Gospodarz rozłożył płachty papieru. Bryła zaprojektowana przez architekta była podobna do domków z szeregu pod lasem — ostry dwuspadowy dach, wieńczący murowany prostopadłościan z tarasem. Zauważyłam, że takie rozwiązanie nie pasuje do tradycyjnego otoczenia z drewnianymi wiejskimi zabudowaniami. — *Wiem o tym, ale to kwestia czasu. Za dziesięć, dwadzieścia lat po tych chatach nawet ślad nie pozostanie. Może ktoś będzie jeszcze gospodarować, ale na pewno już we współczesnych budynkach.* Zapytany o ogłoszenia na przystankach odpowiedział, że drewniane chałupy interesują go wyłącznie jako materiał budowlany. — *Do projektu wniosę poprawkę, bo ściany z cegieł lub pustaków nie są tak zdrowe jak drewniane. Pół województwa już zjeździłem, ale co lepsze rozkupiono. Jeszcze rok temu za dom w niezłym stanie żądano 30-40 milionów. Teraz trudno coś zanaleźć nawet za pięćdziesiąt. Owszem, pełno rozwalających się stodół, które nie wytrzymały tegorocznego śniegu, ale co z takiego próchna można sklecić?*

Burza — jak zwykle o tej porze — szybko minęła i zaczęło świecić słońce. W dalszym ciągu raz po raz przesłaniały je chmury, co oznaczało, że tego dnia na dobre raczej się nie rozpogodzi. Korzystając z przejaśnienia, podziękowałam za rozmowę i poszłam w kierunku wsi. Lipowy Most jest małą miejscowością i, jak większość w tej części województwa, już wyludnioną. W okolicy pozostało wprawdzie kilku młodych gospodarzy, których ratują liczne łąki i pastwiska, co sprzyja hodowli krów, ale i oni nie są pewni przyszłości, w związku z wchodzeniem kraju do wspólnej Europy. Starym właściwie wszystko jedno — mają renty lub emerytury i dożywają. Na ławeczce pod jednym z domów spotkałam mężczyznę i kobietę w podeszłym wieku. Zapytałam o letników.

— Pani, gdybyśmy tylko chcieli, to od razu, jutro lub pojutrze, możemy sprzedać im swoje siedliska. Tylu tu chętnych. Co można, już sprzedaliśmy. Resztę przepisaliśmy na dzieci. Gmina nie wszędzie pozwala te dacze budować, ale i tak nastawiali ich tu niemało.

Zapytałam o ceny.

— A co, chce pani kupić? To zależy od miejsca, no i od tego jak wielka będzie to działka. Ceny są różne — jedni żądają piętnaście, inni pięćdziesiąt. Mamy wolny rynek. Niech pani pojedzie do Królowego Mostu, albo do Sokołdy. Tam też są dacze.

Letnie rezydencje

Słowo dacza przywędrowało do nas z Rosji. W czasach carskich tak nazywano zamiejskie wille i letnie domki zamożnych mieszkańców rosyjskich miast. Później to określenie przylgnęło do altanek na działkach w ogródkach pracowniczych, których wielki rozwój nastąpił w czasach socjalizmu. W Polsce dacze stały się popularne stosunkowo niedawno. W odróżnieniu od wschodnich sąsiadów, u nas podmiejskie altanki mają mało wspólnego z domami letniskowy-

mi nad rzekami, jeziorami, wśród lasów. Takie dacze, z prawdziwego zdarzenia, przeciętni ludzie zobaczyli u nas dopiero w latach siedemdziesiątych. Wtedy jak grzyby po deszczu na obrzeżach puszczańskich ostępów pojawiły się szeregi domków niczym z bajki. Budowali je prominenci partyjni — sekretarze, dyrektorzy kombinatów, osoby na tzw. stanowiskach. Nomenklatura białostocka szczególnie upodobała sobie okolice Królowego Mostu, Supraśla i Sokołdy. Przyciągała malownicza przyroda, do której można dotrzeć po półgodzinie jazdy samochodem.

Okolice Sokołdy wciąż pozostają atrakcyjne. W dniu mojego przyjazdu pogoda już była łaskawsza dla rolników, którzy — korzystając z ocieplenia — uwijali się przy sianie. Nad rzeką spotkałam bardzo rozmownego wędkarza.

— Jak przyszła „Solidarność", połowa z tych domków latami stała pusta. Na ryby nad Sokołdę przyjeżdżam od trzydziestu lat. Widziałem dokładnie, jak je budowano. Wtedy przyczepką samochodową cementu nikt nie woził, jak dziś. Przyjeżdżały całe brygady, wprost od bloków, z ciężkim sprzętem. Państwowe ciężarówki kursowały po kilka razy dziennie, dostarczając budulec. Przyszły właściciel, albo ktoś z jego najbliższej rodziny, dowoził tylko wódkę i zakąskę. Były to czasy, kiedy nic nie można było kupić, nie mając „układów". Przekupywano kogo się dało i czym się dało — pieniędzmi, alkoholem. Ale najczęściej były to transakcje zamienne — barter, jakbyśmy to dziś określili. Dyrektor cegielni spisywał na straty partię wyprodukowanych cegieł i zakładowym transportem wywoził je do lasu, gdzie kolega, powiedzmy dyrektor tartaku, budował po sąsiedzku domek. Ten w podobny sposób rewanżował się deskami, stemplami itp. Gdzieś w połowie osiemdziesiątego pierwszego zjawiły się tu komisje, które badały, kto, za co i w jaki sposób budował. Niektórzy prominenci, w obawie przed wykryciem kradzieży, wyrzekli się nawet swoich domków. Po latach dochodzeń wszystko „rozeszło się po kościach" i od wczesnej wiosny do późnej jesieni w każdym z tych domków zawsze ktoś wypoczywa. Niech pan pójdzie i sama zobaczy — wszystkie podwóreczka są zadbane, jak w filmach zachodnich.

Z lokatorami letnich rezydencji nie udało mi się porozmawiać. Gdy dowiadywali się, kim jestem, natychmiast milkli. Za osiedlem, pod samym lasem, powstają nowe domki. Jeden z przyszłych letników zaczynał stawiać ściany. — *Ta budowa* — jak mi powiedział — *jest sposobem na rekreację. Człowiek potrzebuje azylu, gdzie mógłby skryć się po tygodniu stresów w mieście.* Młody mężczyzna powiedział mi też, że działkę nabył okazyjnie. — *Teraz jest ostatni dzwonek dla takich jak ja, przeciętnych robotników, żeby pozwolić sobie na tego rodzaju inwestycję. Dziś za hektar pagórków trzeba zapłacić ponad dwadzieścia milionów, co nie jest może aż tak wiele, ale jeśli niedawno cena ta wynosiła dwa-trzy miliony, to ile będzie wynosić za kilka lat?*

W gminie, ale obok

Kilkanaście kilometrów w prostej linii na południe, w równie malowniczej okolicy, położone jest osiedle domków jednorodzinnych w Królowym Moście, w gminie Gródek. Z szosy wiodącej z Białegostoku do przejścia granicznego w Bobrownikach jest dobrze widoczne i wzbudza zazdrość przejeżdżających kierowców. Tym razem nie interesowałam się letnikami, ale postanowiłam dowiedzieć się, jak odbierają ich miejscowi.

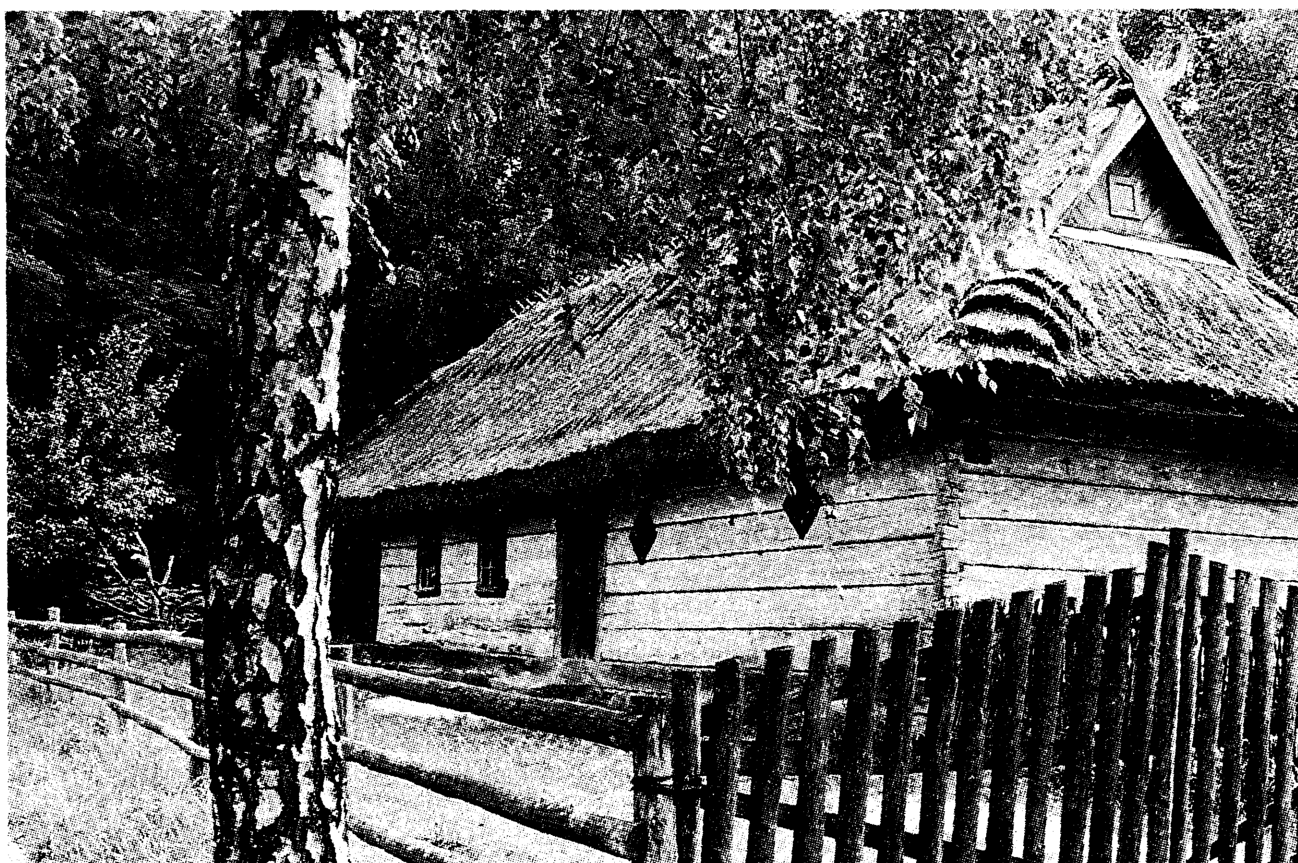
— *Ci ludzie płacą podatki w terminie* — poinformowała mnie sympatyczna pani referent w Urzędzie Gminy w Gródku. — *W Królowym Moście swoje domki ma osiemdziesięciu letników. Rada Gminy w tym roku uchwaliła stawki w wysokości 2 gr za metr kwadratowy działki i 2 złote 65 groszy za metr kwadratowy domku. Średnio do gminnego budżetu wnoszą oni po ok. milion starych złotych rocznie.*

Przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Gródeckiej, Leon Tarasewicz, twierdzi, że ci ludzie do tradycji tego regionu nic nie wnoszą, a nawet zacierają odwieczny białoruski charakter tych ziem. — *Bo co mogą tu oznaczać domki w stylu góralskim?*

Trochę inne zdanie na ten temat mają mieszkańcy okolicznych wsi. Jeden z rolników wyraził się nawet z zadowoleniem: — *Zawsze jest komu sprzedać jajka i mleko. A wiadomo, że o pieniądze na wsi bardzo trudno.*

Uciec z miasta

W ostatnich latach pojawia się inny rodzaj letników. Na dacze są adaptowane wiejskie, opuszczone domy. W drodze powrotnej mój samochód zatrzymał młody człowiek. Okazało się, że jest rodowitym białostoczaninem. Jego rodzice wyjechali spod Bielska zaraz po wojnie. Mieszkanie w bloku, osiem godzin pracy, wolne niedziele, później i soboty, w porównaniu z niemalże całodobową chłopską harówką, jawiły się rajem. Następne pokolenie, wyrosłe pośród murów, o życiu w mieście ma już inne zdanie. — *Bloki, szczególnie te starsze, z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, powoli stają się slumsami. W moim wieżowcu nikt nie dba o klatki wejściowe, w piwnicy całe dnie świeci się światło, na schodach nocują alkoholicy, bezdomni, narkomani. Drzwi do bloku, okna na klatkach i winda są notorycznie demolowane przez młodzież, która pali papierosy, pije wódkę i używa wulgarnych słów. Wokół jest coraz brudniej, pełno plastikowych opakowań i papierów. Do późnych godzin nocnych sąsiedzi oglądają telewizję, słuchają radia, magnetofonu, a cienkie ściany nie zatrzymują hałasu.* Mój pasażer od dawna marzył o ogródku działkowym lub domku letniskowym. Na przeszkodzie stał



Na dacze są adaptowane coraz częściej takie białoruskie chaty, jak ta w Muzeum Wsi w Ciechanowcu

brak pieniędzy. — *Mam dwoje dzieci w szkole podstawowej, oboje z żoną zarabiamy niewiele. Trudno przeżyć do pierwszego, a cóż dopiero myśleć o kupnie jakiegoś domku. Wprawdzie dziadkowie żony pozostawili pod Michałowem niewielką chatę z siedliskiem, ale mieszkać tam dłużej jak dzień-dwa nie można. Dach kryty słomą zaczął przeciekać, a ściany szybko zgniły. Bardzo się ucieszyłem, gdy w ubiegłym roku, przy wielkanocnym stole, wspólnie z teściami uradziliśmy, że urządzimy tam daczę. W tym roku mamy zamiar pobudować domek w stanie surowym.*

Nowe prawo budowlane nie wymaga opracowania projektu, gdy powierzchnia mieszkalna domku nie przekracza 30 m. kw. Przyszli letnicy godzą się jednak na dodatkowe koszty, ale chcą mieć domek z prawdziwego zdarzenia. Tego zdania był także mój rozmówca. — *Jak budować daczę, to odpowiedniej wielkości — tak, żeby czteroosobowa rodzina mogła wygodnie mieszkać także w zimie. Na trzydziestu metrach nie da się tego zorganizować. Za dwadzieścia lat, gdy będę na emeryturze, być może przyjadę tu na stałe. Trzeba więc stworzyć odpowiednie warunki już teraz.*

***

Obumieranie wsi pasa wschodniego naszego regionu trwa kilkadziesiąt lat. W tym czasie pojawiły się różne koncepcje zagospodarowania opustoszałych terenów. Początkowo, zgodnie z duchem epoki, zaczęto wprowadzać tu pegeeryzację, później pojawili się osadnicy. Z roku na rok coraz więcej użytków rolnych leży odłogiem, a pola, do niedawna jeszcze uprawne, objęto planowym zalesianiem. We wsiach pozostali staruszkowie. W taki oto sposób spełniają się marzenia pani Simony Kossak, przyrodnika z Białowieży, która już dziesięć lat temu postulowała niepodejmowanie żadnych kroków w celu ożywienia tych terenów. Jej zdaniem, Białostocczyzna, tak jak przed wiekami, powinna zarastać puszczą. Wiele wskazuje na to, że te tereny mają wielką szansę stać się gigantycznym kurortem, który zmiecie bogatą przeszłość, tradycję i kulturę odwiecznych jej mieszkańców. Pisałam o pojawianiu się letników w jednym tylko zakątku Białostocczyzny. Dacze — nowe lub na bazie chłopskich zagród — znaleźć już można niemal w każdej wsi. Ich bywalcy o historii tych terenów przeważnie nie mają żadnego pojęcia.

Joanna Pawluczuk

Fot. Jerzy Osiennik

Jerzy Kalina

Drugi po prezydencie



Siamion Szarecki **Fot. Jerzy Kalina**

Aleksander Łukaszenka zapowiedział, że od 1 lipca br. zostaną wprowadzone nowe zasady wyjazdów obywateli Białorusi za granicę oraz przyjazdów do Białorusi obywateli innych państw. Do dziś nie istnieją żadne przepisy wykonawcze, stąd tak naprawdę nie wiadomo, co z zapowiedzi prezydenta zostanie wprowadzone w życie. Nieliczne niezależne białoruskie gazety utrzymują, jakoby w praktyce rozporządzenie miało dotyczyć jedynie urzędników państwowych i polityków.

Łukaszenka, uzasadniając konieczność wprowadzenia rygorystycznych przepisów, miał powiedzieć, że dotyczą one przede wszystkim „rozjeżdżających się poza granicami Białorusi i rozpowiadających o niej niestworzone rzeczy polityków", bez konsultacji z władzami, to znaczy z nim samym. Trudno sobie bowiem wyobrazić, by w państwie leżącym w centrum Europy obowiązywały przepisy obligujące turystę do obowiązkowego zwiedzania komisariatów policji.

Jeżeli sprawy potoczą się według tego scenariusza, to jednym z ostatnich białoruskich polityków z pierwszych stron gazet, który skorzystał z możliwości swobodnego przekroczenia granicy był, udający się na nieoficjalne spotkanie z marszałkiem Józefem Zychem, przewodniczący Rady Najwyższej Siamion Szarecki. I kto wie, czy to nie jego zagraniczne wojaże zadecydowały o uszczelnieniu granic republiki.

Szarecki spolegliwy

Z wybraniem nowego białoruskiego parlamentu obserwatorzy życia politycznego w Białorusi wiązali duże nadzieje. Mimo iż wybory odbywały się w warunkach niesprzyjających przemianom demokratycznym, a niektórzy mówili wprost o fałszerstwach, co w efekcie doprowadziło do wyeliminowania z parlamentu najsilniejszego, jak się wydawało, ugrupowania politycznego — Białoruskiego Frontu Narodowego, ukonstytuowana Rada Najwyższa miała stać się przeciwwagą dla wszechwładnego prezydenta. Spodziewano się również, iż nowo wybrany przewodniczący, wywodzący się z Partii Agrarnej, Szarecki — teoretycznie druga osoba w państwie — będzie przynajmniej stwarzał pozory automomii najwyższego ciała ustawodawczego. Nadzieje były na tyle duże, że nawet opozycja pozaparlamentarna nie czepiała się zabytnio nieudolnych poczynań świeżych wybrańców ludu.

Rzeczywistość rozczarowała politycznych optymistów. Parlament, zdominowany przez ugrupowania powolne Łukaszence, przyjmował praktycznie wszystko, czego domagał się prezydent. Obaj mężowie stanu wypracowali nawet swoisty rytuał powitań przed rozpoczęciem obrad parlamentu, obrazujący oryginalne ułożenie zależności pomiędzy białoruską władzą ustawodawczą i wykonawczą: Szarecki oczekuje szefa państwa przed wejściem do gmachu. Po dżentelmeńskim uścisku dłoni i strzeleniu tradycyjnego wschodniego „niedźwiedzia" obaj panowie udają się do sali posiedzień. Po takim powitaniu z dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że deputowani ludowi będą głosować jednomyślnie i konstruktywnie, jak tego oczekuje od nich głowa państwa.

Po kilku miesiącach opozycja, również

ta nieliczna i nieśmiała parlamentarna, zaczęła krytykować przewodniczącego za nieprzejawianie inicjatywy politycznej, służalczość wobec prezydenta, wreszcie brak kwalifikacji do pełnienia funkcji. Doszło nawet do tego, że deputowany Uładzimir Miciuk namawiał swoich kolegów-parlamentarzystów do odwołania Szareckiego za „nieudolny styl pracy i niewykonywanie konstytucyjnych obowiązków".

Zdeterminowana opozycyjna gazeta „Swaboda", pisząc o przewodniczącym, ironizowała na temat jego wyglądu i talentów oratorskich: „Browi czornyje gustyje, rieczi dlinnyje, pustyje".

Szarecki konspirator

Zagraniczne kontakty przewodniczącego rozpoczęły się od znajomości, ewoluującej w odwzajemnioną przyjaźń, z jego odpowiednikiem w Rosji — Jegorem Strojewem. Sympatia obu mężów stanu przejawiała się m.in. w częstych kontaktach, prywatnych i oficjalnych. Przewodniczący Rady Federacji Rosyjskiej „załatwił" swemu przyjacielowi przyjęcie w Moskwie godne prezydenta Stanów Zjednoczonych, z przemówieniem w Dumie włącznie. Szarecki niejednokrotnie korzystał z propozycji kolegi, by na pokładzie rosyjskiego samolotu rządowego wspólnie udawać się na służbowe wizyty zagraniczne. Oficjalnie tłumaczono to oszczędzaniem wydatków z kasy państwowej.

W czasie spotkań rozmawiano o potrzebie zwiększenia znaczenia roli parlamentów w obu państwach.

Podejrzewać jednak należy, że dużo bardziej nie podobała się Łukaszence wizyta Szareckiego w Stanach Zjednoczonych. Jej celem było zapoznanie się z tamtejszym modelem ułożenia stosunków pomiędzy władzą ustawodawczą i wykonawczą oraz funkcjonowaniem samorządów lokalnych. Polityk też człowiek, nie zabrakło więc czasu na zwiedzanie osiągnięć kapitalistycznego imperium, kupienie upominków rodzinie i znajomym.

Jednym z punktów programu było, zaplanowane na wniosek Szareckiego, spotkanie z przedstawicielami białoruskich organizacji emigracyjnych. Przewodniczący wiedział o ich istnieniu, gdyż kilka miesięcy wcześniej otrzymał depeszę gratulacyjną od Antona Szukiełojcia, szefa najbardziej wpływowej z nich — Białorusko-Amerykańskiego Zjednoczenia, w związku z wyborem na stanowisko. Wiedział również dlatego, że dyplomaci przygotowujący wizytę w USA podsunęli mu do przejrzenia książkę dr. Vitaŭta Kipiela pt. „Białorusini w USA". Szarecki wziął nawet książkę na spotkanie, aby uzyskać autograf autora. Szkopuł jednak w tym, że autor, podobnie jak większość białoruskich emigrantów politycznych, nie przyjął zaproszenia na oficjalne spotkanie w ambasadzie w Waszyngtonie.

Do kontaktu jednak doszło. W dobrej restauracji w centrum Waszyngtonu kilku przedstawicieli emigrantów podzieliło się z przewodniczącym i towarzyszącymi mu osobami odczuciami na temat aktualnej sytuacji politycznej i społecznej w Białorusi. Było to 21 maja, a więc w okresie, gdy w Mińsku dziesiątki tysięcy ludzi manifestowało przeciwko wprowadzaniu rządów autorytarnych. Nietrudno więc zgadnąć, co mogli powiedzieć Szreckiemu ludzie zmuszeni przed pięćdziesięciu laty przez komunistów do porzucenia ojcowizny. Zamierzali oni, być może trochę naiwnie, uświadomić decydentowi z Mińska międzynarodowe skutki umacniania się dyktatury w Białorusi. W liście przekazanym Szareckiemu napisali m.in.: „Będziemy informować o tłumieniu wolności, naruszaniu praw człowieka i umacnianiu się dyktatury w Białorusi. Za pośrednictwem przychylnych nam polityków amerykańskich będziemy domagać się od władz naszego kraju podjęcia działań mających na celu umocnienie niezależności Republiki Białoruś, zagwarantowanie przestrzegania praw człowieka oraz przeprowadzenie reform demokratycznych".

Dwa tygodnie po spotkaniu koalicja wszystkich organizacji emigracyjnych przeprowadziła przed ambasadami białoruską i rosyjską w Waszyngotnie manifestacje przeciwko łamaniu praw człowieka i ekspansji rosyjskiego imperializmu na Białoruś. Dyplomata z ambasady białoruskiej w rozmowie z przewodniczącym jednej z organizacji nie ukrywał irytacji: „Po spotkaniu z Szareckim myśleliśmy, że nasze stosunki są unormowane".

Szarecki Europejczyk i przyjaciel Białorusinów

Pokorność każdego człowieka ma swoje granice. Przewodniczący, nabrawszy obycia i ogłady politycznej za granicą, coraz gorzej znosił arogancję prezydenta. Zaowocowało to oświadczeniem, że „Łukaszenka jest bardziej totalitarny niż dawni przywódcy ZSRR".

Czarę pretensji Łukaszenki przelało nieoficjalne spotkanie szefów parlamentów Polski i Białorusi w leśniczówce Gruszki pod Narewką.

Informacje uzyskane podczas zaimprowizowanej konferencji prasowej wyraźnie rozczarowały kilkunastu polskich dziennikarzy, spekulujących wcześniej na temat tajemniczej atmosfery spotkania. Rozmawiano o stosunkach dwustronnych, sytuacji mniejszości narodowych. Zdziwienie mógł budzić fakt, że przewodniczący Rady Najwższej, który 3 maja, a więc w dniu polskiego święta narodowego, podczas obrad parlamentu stwierdził jakoby „w historii Polska nigdy nie pomagała Białorusinom", teraz prosił marszałka Zycha o poparcie białoruskich starań o przyjęcia do Rady Europy.

Oprócz tego, że politycy zadeklarowali potrzebę kontaktów obu parlamentów i umacniania ich roli, spotkanie przebiegało w „przyjacielskiej i konstruktywnej atmosferze".

Wbrew pozorom dużo ciekawsze było spotkanie ze środowiskami białoruskimi w Muzeum Kultury Białoruskiej w Hajnówce. Działacze średniego i starszego pokolenia (Związek Białoruski nie przyjął zaproszenia), najwyraźniej zdegustowani nieprzygotowaniem i widoczną ignorancją białoruskiej delegacji, nie szczędzili słów krytyki i nieskrywanych pretensji wobec traktowania ich samych przez władze w Mińsku oraz sytuacji w republice. Szarecki, znany m.in. z deklaracji, że sprawy związane z kulturą podczas obrad sesji Rady Najwyższej powinny być omawiane po białorusku, a problemy ekonomiczne i polityczne — po rosyjsku, nie miał nic do powiedzenia na temat perspektyw odrodzenia języka i kultury białoruskiej.

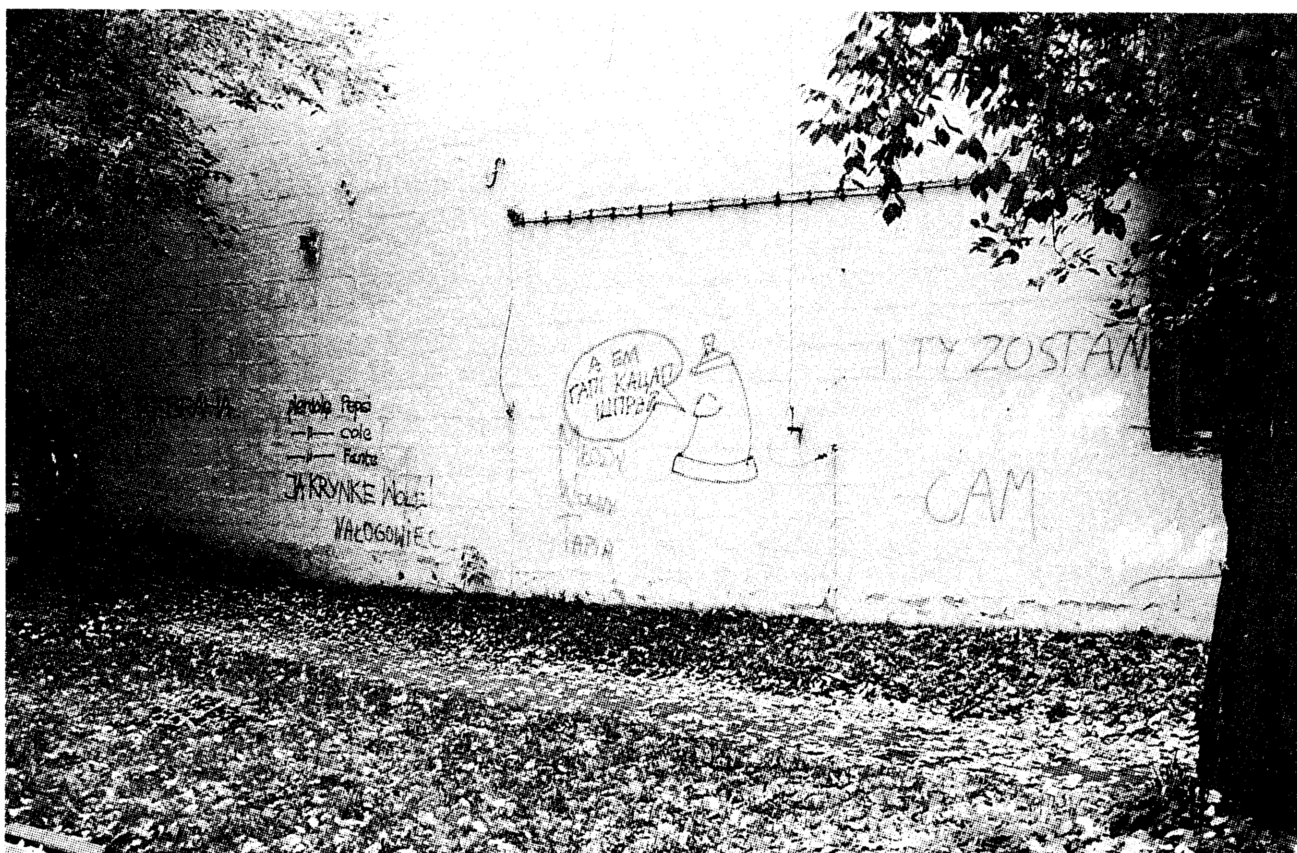
Jak zły żart zabrzmiały w takiej atmosferze apele przewodniczącego i byłego ministra spraw zagranicznych Piotra Krauczaki o zachowanie przez polskich Białorusinów tożsamości narodowej.

Siamion Szarecki późnym popołudniem odjechał rządową limuzyną przez niedostępne dla zwykłych śmiertelników przejście drogowe w Białowieży, zamykając za sobą szlaban do integracji Białorusi z Europą. Nie pozostawił też złudzeń co do najbliższej perspektywy odrodzenia kultury białoruskiej w Białorusi. W kierowanej przez niego Radzie Najwyższej jedynie 4 ze 190 parlamentarzystów posługuje się językiem białoruskim.

Jerzy Kalina

Jerzy Sulżyk

Głos na murach



Pewnego ranka, spacerując po uliczkach warszawskiej Starówki (było to chyba w 1990 albo w 1991 roku) zauważyłem zdanie wypisane spray'em na murze: „А я насраў".

Pisanie albo malowanie na murach (ścianach) jest stare jak sam człowiek i jego kultura. Nasz paleolityczny przodek z Lascaux we Francji ozdobił ochrą ściany swojej jaskini. Przedstawił na obrazie najważniejszą dla siebie czynność: polowanie. W tych prostych malowidłach zawarł cały sens swego życia: walkę o przetrwanie, magię, śmierć. Dzisiaj, kiedy nikt już nie mieszka w jaskiniach, a polowanie na zwierzęta postrzegane jest przez pryzmat wojujących ruchów ekologicznych, na ścianach pojawiają się napisy w stylu: „Lech Wałęsa kawał mięsa", „Dyzio ch...j" czy też, żeby dorzucić lokalnego kolorytu, „Jagiellonia Pany" (spadła do III ligi — J. S.). Piszemy po ścianach dużo, a najobficiej młodzież, bo też to ona właśnie ma najwięcej do powiedzenia. Niekiedy sposób wyrażania myśli czy emocji przybiera formy, które można uznać za artystyczne. Do takich należą graffiti, czyli wykonywane farbą w spray'u napisy i obrazki.

Dlaczego człowiek pisze lub maluje po murach? Nie wgłębiając się w szczegóły, bo każdy przypadek ma przecież swoje indywidualne źródło, można odpowiedzieć: chce po prostu coś przekazać. Pragnie być wysłuchany. I nie tyle ważny jest tu sam człowiek, ile jego myśl, bo to sztuka (że użyję tego słowa) anonimowa, zarazem pełna emocji — odblokowania ich w twórczym, bądź destrukcyjnym akcie.

Już w maju '68 roku działacze studenccy w Paryżu wykonywali graffiti. Graffiti jest przeważnie wywrotowe w treści. Przejęły je „feministki", „ekolodzy", „anarchiści". (...) Amerykańskie gangi uliczne od lat używały symboli, pseudonimów, haseł w graffiti do wyznaczania granic swego terytorium i jako znaków identyfikacyjnych, ale dopiero około roku 1974 pojawienie się tanich samochodowych farb w aerozolu wyzwoliło w Nowym Jorku masową modę. Młodociani autorzy malowali nie tylko na murach, ale także na zewnętrznych ścianach wagonów metra (co przydawało temu hobby elementów ryzyka) i doskonalili formy ekspresji, przekształcając zwykłe napisy w bardziej złożone symbole i piktogramy. (...) zainteresowała się nimi oficjalna sztuka, (...) zaczęto je eksponować w galeriach, jako pochodną POP-ARTU. Niektórzy entuzjaści tej sztuki uznali ją za nowy folklor.

Żargon graffiti: TAG — podpis; PIECE — rysunek; BOMBING — pokrycie napisami miejsca publicznego; BITING — przywłaszczenie czyjegoś taga.

(Ze *Słownika pojęć kultury postmodernistycznej* T. Thorne'a, Warszawa 1995)

„Niszcz...", czyli ideologia

Graffiti to sztuka mocno podszyta ideologią. Ten sposób artykułowania swoich myśli przyjmują najczęściej rozmaite nieformalne grupy młodzieżowe. Anarchiści, narodowcy, radykalni ekolodzy, pacyfiści itd. Obrazek czy napis na murze jest czymś w rodzaju ich manifestów. Jest to, mówimy, działanie głęboko zaangażowane. Graffiti musi zawierać konkretną treść, jasno, czasem wręcz rozbrajająco dosłownie wyrażoną przy pomocy obrazka albo tekstu. „Niszcz nazizm" jest jednym z najbardziej znanych tego rodzaju przedstawień. Jest na nim pokazana na wpół sfatygowana swastyka, rozbita przez twardą, potężną pięść. Ostatnio widziałem inny obrazek, trawestację poprzedniego: „Niszcz McDonalds'a" (pisownia oryginalna — J. S.). Połączenie tych dwóch wypowiedzi doskonale oddaje klimat, rzec można naturę, graffiti i w ogóle napisów na murach. Ich najważniejszą cechą jest jasno, czytelnie wyrażone przesłanie — w tym przypadku — protest. „Niszcz..." w obu przykładach jest w gruncie rzeczy tym samym działaniem. Swastyka symbolizuje nazizm wraz z jego hasłami, zaś McDonald's konsumpcję i komercję — uniformizację kultury pod dyktando Ameryki.

Sztuka murów pełna jest niepokoju, choć zarazem nie mniej w niej bezsilności.

Maluj mury!

Łatwo dostępne farby w aerozolu spowodowały szaleństwo malowania na murach. „Ofiarą" padły też przystanki autobusowe. W Białymstoku nie ma chyba takiego, na którym nie byłoby jakiegoś „twórczego" napisu. Zresztą







„malowanie” przystanków przeniosło się też na prowincję. Dominują zwykłe napisy, często w języku angielskim (z błędami), czasem można zobaczyć też charakterystyczne, zrobione z wykorzystaniem szablonu, rysunki. Największa popularność graffiti w Polsce przypada na koniec lat 80. i początek 90., kiedy to malowanie murów przestało być równoznaczne z pisaniem antykomunistycznych haseł. Otwarcie się na świat, wpływanie szerokim strumieniem rozmaitych zachodnich mód, przyniosło zupełnie inne problemy. Dynamicznie zaczęły rozwijać się młodzieżowe subkultury. Wszystkie one, oprócz określonej, często wrogiej sobie, ideologii (na przykład ruch Punk i Skinhead), wymagały odpowiedniego stroju (w ogóle powierzchowności, sposobu zachowania) i, co może najważniejsze, słuchania takiej, a nie innej muzyki. Razem z tym wszystkim w naturalny sposób zaistniało graffiti, bo nazwy kultowych kapel można było w prosty sposób napisać na murze, ale też przedstawić je w oryginalnej wersji graficznej, z klasą.

Malowanie na murach jest uznawane za przejaw normalności bądź też zdziczenia obyczajów, wręcz wandalizmu. Wszystko to w zależności od oceniającego. Swego czasu „Gazeta Wyborcza” drukowała nawet wzory szablonów i nawoływała: „Maluj mury!”, wyłączając wszakże z akcji zabytki architektury (np. warszawskiej Starówki). Tworzone spontanicznie kolorowe obrazki miały zburzyć dotychczasową szarość i monotonię jednolitej, socjalistycznej architektury, wprowadzić trochę szaleństwa w ponury świat wielkomiejskich blokowisk.

Z drugiej strony szaleństwo graffiti stawało się z czasem uciążliwe. Zdarzały się przypadki, że świeżo odnowione elewacje budynków (także zabytków) padały ofiarą nadgorliwych wielbicieli hasła „Maluj mury!” Toczyły się poważne dyskusje o granicach wolności tego rodzaju wypowiedzi, posypały się kary na „wandali” i protesty obrońców swobody wyrażania się. Dziś, zdaje się, sprawa ta trochę ucichła. Pisanie na murach i samo graffiti znalazły swoje miejsce w naszej kulturze, stały się częścią normalności. I kiedy czasem ludzie zbulwersowani są tym, że ktoś spray’em pomalował przystanek autobusowy, jest to też najzupełniej normalne.

Białoruskie napisy

W Białymstoku i okolicach można



spotkać białoruskie napisy na murach (pisane w języku białoruskim, bądź po polsku, a dotyczące Białorusinów). Rysunków raczej się nie spotyka, a wyjątek stanowi zauważany czasem krzyż słowiańskiego boga Jaryły na czarnym tle, którego to symbolu używa Związek Młodzieży Białoruskiej (ZBM). Dominują napisy związane z białoruską muzyką rockową i jej wykonawcami, których popularność w regionie wynika w znacznej mierze z faktu odbywania się festiwalu „Basowiszcza". Rekordy bije tu R.F. BRAHA, na temat której graficzne wariacje można zobaczyć w centrum Białegostoku, na Lipowej, a także w innych miejscach. Jest też KARDON — na przykład na murze okalającym Pałac Branickich. Nieco mniej widoczny w Białymstoku jest ULIS — napis widziałem na niedużej skrzynce elektrycznej przy którejś z ulic. Spotkać też można nazwy TORNADO, KRAMA, MROJA, i to nie tylko w stolicy regionu, ale też w Bielsku Podlaskim i Hajnówce.

Oprócz akcentów muzycznych często spotyka się, głównie na przystankach autobusowych, napisy o wydźwięku politycznym. Są to „Żywie Biełaruś!" albo po polsku: „Niech żyje wolna i niepodległa Białoruś!", ale obok nich można znaleźć czasem takie zdanie: „Białorusy, wy psy, won!" Niezapomniane wrażenie zrobił na mnie pewien napis, który odnalazłem jeszcze w trakcie moich studiów (był rok 1990 lub 1991) w Warszawie. Pewnego ranka, spacerując po uliczkach Starówki, zauważyłem znajome „białoruskie" litery, układające się w zdanie: „А я насраў".

Na murach następuje swego rodzaju wymiana myśli. W konspiracji, najczęściej po ciemku, można napisać wszystko, co normalnie nie przejdzie przez gardło, nie zaistnieje na papierze. Bo będzie albo banalne, albo wulgarne, a niekiedy zbyt patetyczne. Pisanie na murach z założenia takie ma być: nieskomplikowane, dosadne, bulwersujące, rozśmieszające. Na przystanku obok siebie zapisano białymi literami:

„Nikt mnie nie kocha."

„Kocham Kaśkę B."

„Kocham wolność."

„Kocham szkołę."

Tych napisów stale przybywa, jakby to była jakaś lista. Ostatnio ktoś zapaskudził (a może upiększył) je malując spray'em ogromnej wielkości fallus, ze stosownym napisem, którego nie chcę cytować.

Pisanie na murach, to także wymiana korespondencji, wysłanie listu bez adresu, z gwarancją doręczenia. Dzisiaj, kiedy piszemy coraz mniej listów, gdy zanika w ogóle ta umiejętność (odchodzą w niepamięć grzecznościowe zwroty, charakterystyczne frazy), malujemy mury. Człowiek odziera się z tej intymności, którą daje pisanie (i czytanie) listów, kiedy dwie osoby zawiązują pomiędzy sobą więź, pielęgnowaną przy pomocy słów. Pisanie na murze jest zupełnym przeciwieństwem takiego związku, jest ekshibicjonistyczną formą szukania więzi. Ale z kim? Z tłumem?

Jerzy Sulżyk
Fot. Jerzy Osiennik

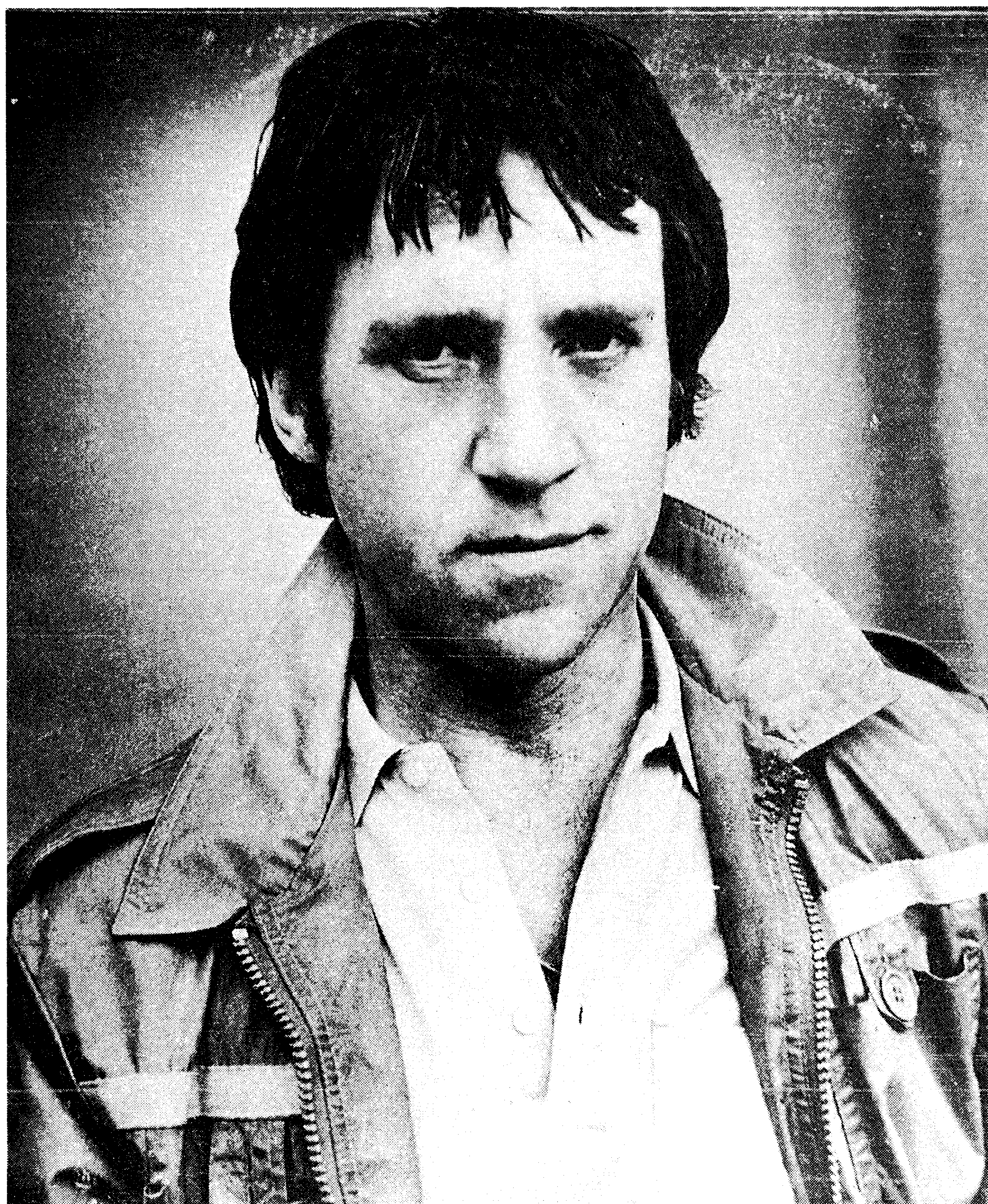
Legenda wciąż żywa

Pisać o Włodzimierzu Wysockim obecnie jest trudniej niż kiedykolwiek. Niemal każdy dzień jego życia został zbadany i w jakiś sposób zarejestrowany — wydano wiele biografii, pamiętników i opracowań. Autorzy wspomnień o Wysockim nie zawsze są zgodni co do poszczególnych zdarzeń z życia artysty. Dlatego trudno jest teraz o nim pisać, gdyż łatwo o przekłamania i posądzenie o żerowanie na pamięci o człowieku, który zawsze negował fałsz, koniunkturalizm i efekciarstwo. Z drugiej strony my — mieszkańcy Białostocczyzny — mamy szczególny dług wobec Wysockiego. W życiu wielu z nas jego piosenki odegrały nie mniejszą rolę niż za wschodnią granicą, tymczasem dotychczas nikt z nas nie pokusił się, by skreślić o nim kilka słów.

Czas, jaki minął od śmierci Wysockiego — nocy z 24 na 25 lipca 1980 r. — nie oddalił, ale jeszcze bardziej przybliżył jego twórczość milionom odbiorców. W radiu i telewizji zaczęto nadawać poświęcone mu programy, a przede wszystkim piosenki. W kinach odbywały się projekcje filmów z jego udziałem. Pojawiło się tysiące artykułów w prasie, książek i oczywiście płyt — w milionowych nakładach. W nie mniejszych ilościach — nagrania magnetofonowe.

Legenda Włodzimierza Wysockiego jest wciąż żywa. Wielkość artysty potwierdza się na nowo we wzruszeniach, jakie wywołuje jego niezwykły — ostry, drażniący, chrapliwy, czasem przechodzący w krzyk i równocześnie liryczny — miękki, ciepły głos. Twórczość Wysockiego wciąż budzi zainteresowanie i zyskuje coraz ważniejsze miejsce w kulturze. Od lat pojawiają się liczni naśladowcy, ale jest to sztuka jałowa. Tego nie da się powtórzyć. Zdarzyło się to jeden, jedyny raz. Bowiem tylko w oryginale Wysocki jawi się w całym swym niepowtarzalnym bogactwie. Polscy tłumacze upraszczają rzecz maksymalnie — tworzą własne teksty obok tekstów Wysockiego. Po konfrontacji czar polskiej piosenki pryska...

Włodzimierz Wysocki — niepospolity człowiek, poeta i pieśniarz, był też wybitnym aktorem. Grywał w najpopularniejszym w Moskwie Teatrze na Tagance, gdzie stworzył niezapomnianą



Владимир Высоцкий

Холода

В холода, в холода
От насиженных мест
Нас другие зовут города,
Будто Минск, будто Брест
В холода, в холода.

Неспроста, неспроста
От родных тополей
Нас суровые манят места,
Будто там веселей.
Неспроста, неспроста.

Как нас дома ни грей,
Не хватает всегда
Новых встреч нам и новых друзей,
Будто с нами беда.
Будто с ними теплей.

Как бы ни было нам
Хорошо иногда,
Возвращаемся мы по домам,
Где же наша звезда?
Может здесь, может там?

Włodzimierz Wysocki

Na ten chłód

Na ten chłód, na ten ziąb
Co tak goni nas gdzieś?
Co tak ciągnie wciąż dalej i w głąb?
Trzeba ruszać, pal sześć!
Na ten chłód, na ten ziąb...

Dziwna rzecz, dziwna rzecz...
Od topoli i brzóz
Odchodzimy na Północ, hen precz.
Czy tam cieplej, gdzie mróz?
Dziwna rzecz, dziwna rzecz...

Ciepły mieliśmy kąt.
Lecz ruszyliśmy w świat.
Pewno jakiś w nas samych tkwi błąd?
Bo tak zawsze — pod wiatr,
Bo tak zawsze — pod prąd.

Do powrotu wtem głos
Nas namawia ten sam,
Co na oślep gnać w dal kazał nam.
Gdzie ów szczęsny jest los?
Może tu? Może tam?

Przekład Ziemowita Fedeckiego

rolę Hamleta. Wystąpił w 24 filmach. Pozostawił po sobie tysiąc pieśni, piosenek, wierszy, nagrał kilkanaście płyt. Rzadko kto za życia osiąga taką sławę.

Fenomen artysty jest jeszcze większy, gdy uwzględnimy, że żył i tworzył w Związku Radzieckim. Nic przeto dziwnego, że oficjalnie nie był w pełni doceniany. Bez uzasadnienia odwoływano mu koncerty, filmy z jego udziałem długie lata leżały na półkach, krytycy zdawali się go nie zauważać... A w tym samym czasie nie było prawie domu, w którym nie słuchano by codziennie jego piosenek. Fenomen artysty wspaniale opisał Robert Rożdżestwienskij: „Wysocki pisał, sam był reżyserem i wykonawcą. Spieszył się, przymierzał stroje, charaktery i losy innych ludzi — zabawnych i poważnych, praktycznych i beztroskich, realnych i wyimaginowanych. Przejmował się ich troskami, problemami, ich pracą i zasadami życiowymi, manifestował ich sposób myślenia i mówienia. Improwizował, pasjonował się i wyolbrzymiał, był zuchwały i kpiący, drażnił i demaskował, aprobował i popierał.

Śpiewając Wysocki mógł być taki grzmiący, taki gwałtowny i burzliwy, że ludzie siedzący na sali niekiedy — niczym pod wpływem silnego wiatru — zamykali oczy i wciągali głowy w ramiona. I zdawało się: lada sekunda zawali się sufit, wybuchną głośniki, nie wytrzymując przeciążenia, sam zaś Wysocki upadnie bez tchu, umrze na scenie... Zdawało by się, że w takim napięciu nie sposób śpiewać, nie sposób oddychać. Ale on śpiewał. Oddychał.”

Nie sposób opisać wszystkich tematów jego piosenek. Śpiewał o życiu. Urodził się przed wybuchem wojny, więc nie mógł „walczyć za Ojczyznę”, co w jego czasach było wręcz czczone. Moralny dług spłacał śpiewając. Najbardziej znana pieśń wojenna, to „On nie wrócił z boju”, w której przedstawił, oficjalnie wtedy przemilczany, ludzki dramat tamtych czasów.

Wśród utworów lirycznych Wysocki najbardziej cenił „Jedynej, którą kochałem”. Jego druga żona — Marina Vlady — mieszkała i pracowała w Paryżu, on — w Moskwie. Była jego wielką miłością i tęsknotą. Tuż przed śmiercią zadedykował jej swój wiersz.

Pracował z ogromną koncentracją i stawiał przed sobą najwyższe wymagania. Spieszył się, żył w nieustannym napięciu, miotaninie. Los, który sobie wybrał, rujnował jego siły i mógł skończyć się tylko tragicznie.

Zmarł w wieku 42 lat. Ani prasa, ani

Włodzimierz Wysocki

On nie powrócił ze zwiadu

Wszystko jakoś nie tak, niby kręci się świat,
Oznak burzy na niebie ni śladu,
Ten sam las i powietrze, ten sam wody smak,
Tylko on nie powrócił ze zwiadu.

W imię czego co noc tak spieraliśmy się —
Tego pojąć już dziś nie dam rady,
Lecz jak bardzo go brak — teraz dopiero wiem
Kiedy wczoraj nie wrócił ze zwiadu.

Podśpiewywał nie w takt, w zamyśleniu zwykł trwać,
Czasem gadał bez sensu i składu,
Zrywał się skoro świt i nie dawał mi spać,
Ale wczoraj nie wrócił ze zwiadu.

Głucha pustka z wszech stron, jednak problem nie w tym.
Zrozumiałem: świat z nas dwóch się składał.
Jakby ciepło ogniska zdusił wiatr, rozwiał dym,
Kiedy on nie powrócił ze zwiadu.

Dzisiaj wiosna z niewoli wyfrunęła jak ptak,
Skry zieleni strąciła do sadu,
Brachu, zostaw popalić! Nie odezwał się brat,
Przecież wczoraj nie wrócił ze zwiadu.

Nie odchodzą zabici, nie porywa ich czas,
Gdy wyciągnę dłoń, może cię dotknę,
W dali niebo błękitne opada na las,
Stoją drzewa jak rzeźby ulotne.

Zawsze miejsca w ziemiance starczało dla dwóch,
Czas po równi na dwóch się rozkładał,
Teraz zdaje mi się, kiedy nie ma go tu,
Że to ja nie wróciłem ze zwiadu.

Przekład Bogusława Wróblewskiego

radio, ani telewizja nie podały wiadomości o śmierci Włodzimierza Wysockiego. W lipcu 1980 roku Moskwa żyła Igrzyskami Olimpijskimi. Wieść o śmierci wielkiego barda błyskawicznie rozniosła się po stolicy — sąsiedzi i nieznajomi, na ulicy, w sklepie, w pracy, przekazywali sobie tę smutną wiadomość. Ludzie byli wstrząśnięci. Następnego dnia przed domem Wysockiego zjawiło się tyle osób, jak na mityngach. Oficjalna ceremonia pogrzebowa odbyła się w Teatrze na Tagance. Wielotysięczny tłum moskwian przybył, żeby pożegnać artystę. W Moskwie mówi się, że jak dotąd były tylko dwa tak wielkie pogrzeby — pierwszym był pogrzeb Stalina. Wysocki spoczął dokładnie w centrum stolicy, na Cmentarzu Wagańkowskim, na wprost bramy wejściowej. Za taką lokalizację kierownik cmentarza stracił pracę.

W listopadzie 1985 r. na mogile ustawiono pomnik — socrealistyczną statuę, w stylu, jakiego Wysocki za życia nie znosił. W odsłonięciu wzięli udział tylko rodzice.

Jego grób stał się miejscem pielgrzymek milionów ludzi z całego świata. Każdy z nich ma własny wizerunek artysty, wspólnie tworzą konglomerat szacunku, czci i miłości. U stóp pomnika nowożeńcy składają kwiaty, ludzie poznają się, wymieniają adresy, nagrania, śpiewają jego piosenki, niektórzy zostawiają swoje gitary.

Dzisiaj Włodzimierz Wysocki już nikomu nie przeszkadza. Ale za życia ten znakomity pieśniarz, poeta i aktor był symbolem krzywd i nadziei. Wyprzedził czas.

***

Składam hołd pamięci Włodzimierza Wysockiego. Wiem, że żadne słowa nie są w stanie zastąpić jego pieśni w autorskim wykonaniu. Od ponad dwudziestu lat wyszukuję, zbieram materiały, filmy i nagrania artysty. Wysocki to dla mnie przede wszystkim bard — kompozytor, piosenkarz, poeta, a dopiero potem aktor teatralny i filmowy.

W Orli, mojej rodzinnej miejscowości, Włodzimierza Wysockiego zna prawie każdy. Tu po raz pierwszy usłyszałem go także ja. W latach 70. słuchałem jego piosenek jedynie z amatorskich nagrań, kopiowanych z taśmy na taśmę, aż do zupełnej niemal utraty słyszalności. Wiele z tych nagrań docierało do Polski nielegalnie. Obecnie, jako „artysta-malarz" czuję się w obowiązku i pragnę stworzyć jego portret. Chcę w ten sposób wyrazić wdzięczność wielkiemu pieśniarzowi za jego twórczość, która znalazła trwałe i ważne miejsce w moim życiu.

Michał Mincewicz
Fot. ze zbiorów autora



Michał Mincewicz: — Czuję się w obowiązku i pragnę stworzyć portret Włodzimierza Wysockiego

Chłop białoruski

Wieś Podolany powstała w 1796 roku. W tym też czasie przyjechał do Białowieży mój pra, pra, pradziad Paweł Rusko i kupił 16 ha ziemi. Wiem o nim tylko tyle, że miał syna Antoniego — tego z kolei Pan Bóg obdarował synem Jakubem, który był ojcem mego dziadka Antoniego. To właśnie Antoniemu II poświęcam swoje opowiadanie.

Dzieciństwo miał takie, jak większość wiejskich dzieci w drugiej połowie XIX wieku. W chłopskiej rodzinie ledwo wyrosło się z kołyski, ledwo stało nóżkami, już miało się obowiązki. Dziadek, odkąd mógł sięgnąć pamięcią, był budzony ze wschodem słońca, by pasać świnie. Pewnego razu, zerwany ze snu, szybko naciągnął czapkę na główkę i popędził pokaźne stadko na pastwisko. Tam koleżanka poczuła od jego włosów nieprzyjemny zapach. Zdjęła czapkę i umyła mu głowę w strumyku (który po dziś dzień płynie przez wygon). Okazało się, że włosy ubrudziła mu malutka, dwuletnia siostrzyczka, która w nocy wlazła na poduszkę braci i zrobiła „kupę".

Było ich sześcioro rodzeństwa — trzech chłopców i trzy dziewczynki. Wszyscy spali razem na rozesłanej na podłodze słomie, przykrytej lnianym *radnom* (rodzaj utkanej własnoręcznie kapy). Poduszek nie brakowało, bo rzeka była blisko i latem co roku pasło się nad nią mnóstwo oznakowanych farbą gęsi.

Ojciec pozwolił Antoniemu rozpocząć naukę dopiero w listopadzie, po ukończeniu pracy w polu. Trzeba bezstronnie przyznać, że szkoły w przedrewolucyjnej Rosji słynęły z wysokiego poziomu nauczania. Nauczyciel, spostrzegłszy nowego ucznia w klasie, mówił wprost, że nie ma zamiaru pracować z nim indywidualnie.

Mały kłusownik

Nie udało się dziadkowi ukończyć szkoły. Nie miał w domu arytmetyki Magnickiego i gramatyki Smotryckiego. Nikt mu nie pomógł. Od najmłodszych lat musiał ciężko pracować w polu, orać, siać, kosić i dźwigać ciężkie snopy zboża i kopy siana na nosidłach. Szkołę i studia zastąpił mu las, gdzie starał się spędzić każdą wolną chwilę. Świetnie znał się na gatunkach drzew, krzewów i kwiatów. Po grzyby i różnego rodzaju jagody (poziomki, maliny, czarne jagody, borówki i żurawiny) udawał się w znane jemu tylko miejsca, jak do własnej spiżarni. Doskonale wiedział, gdzie mają zwyczaj przebywać różne zwierzęta i uwijać gniazda ptaki. Nic przeto dziwnego, że te umiejętności wykorzystał do... kłusownictwa. Dziadek od najmłodszych lat obserwował carskie polowania, niejednokrotnie sam brał udział w nagonkach. Po pewnym czasie doszedł do wniosku, że on też potrafi polować. Szczegółów nauczył się od sąsiada Bajko.

Antoni potrafił dobrze strzelać, był bardzo sprawny, silny i inteligentny. Był nieuchwytnym leśnym człowiekiem, toteż niemało krwi napsuł ówczesnemu łowczemu Wagnerowi. Rozwścieczony łowczy przyszedł do dziadka i powiedział wprost:

— Jak spotkam cię w lesie z bronią, to strzelę w łeb.

Na to dziadek:

— Proszę pana, ja pana częściej widuję i w każdej chwili mogę użyć broni, ale nie robię tego.

Pewnego wiosennego dnia przyszedł do dziadka szpicel. Chciał od niego kupić rogi jelenia z łbem. Dziadek mu powiedział, że owszem, ma takie rogi, ale są schowane. — *Bendo* — umówił się z kupcem na wieczór. W czasie kolacji zza okna doleciał podejrzany szmer. Dziadek w mig zrozumiał, że dom jest otoczony. Natychmiast wszedł do spiżarni, założył na plecy rogi, na wierzch naciągnął chłopskie *świtno* i wyszedł spokojnie z domu. W drzwiach oznajmił, że idzie na pastwisko po konia. Rogi ukrył za stodołą w kwitnących ziemniakach.

Innym razem, jesienią, upolował dużego jelenia o pięknych rogach. Już miał wracać do wsi, by umówić się z sąsiadem na wieczór na zabranie zdobyczy, gdy ujrzał w oddali łowczego z całą świtą, podążającą w kierunku skąd padł strzał. Dziadkowi żal było pięknych rogów. Szybko odciął głowę upolowanego jelenia i wciągnął ją na wysoki świerk. W ten sposób jeszcze raz wyprowadził łowczego w pole. Leśnicy i gajowi zaprzysięgli zemstę, ale kłusownik był nieuchwytny. Długie lata dziadek zaopatrywał wieś w leśne mięso, szczególnie na uroczystości rodzinne, jak wesela czy chrzciny.

Wiejski bohater

W młodości dziadka Białowieżę odwiedzał car z rodziną. Z tej okazji organizowano polowania. Przybycie cara poprzedzał przyjazd ochrony. Byli to dorodni, umundurowani i dobrze wyszkoleni kozacy dońscy, kubańscy i Czerkiesi. Rozlokowywano ich także w Podolanach. Jeden z takich oddziałów w 1906 roku stacjonował w stodole Timocha Rusko (brata dziadka). Kozacy byli uzbrojeni w szable, bagnety i karabele. Broń bardzo podobała się dziadkowi, poprosił więc brata, aby zdobył mu jedną karabelę. Timoch, świadomy konsekwencji, kategorycznie odmówił. Dziadek nie zrezygnował. W nocy podczołgał się do stodoły, odczekał aż wartownik oddali się na bezpieczną odległość, przedostał się do środka i ukradł strzelbę. Ukrył ją w strzesze stodoły.

Nazajutrz kozacy zrobili straszną aferę. Przeszukali całą wieś. Spenetrowali wszelkie możliwe kąty. Zajrzeli do każdej studni, kłuli bagnetami w stogi siana, zrywali podłogi w chałupach. Strzelby nie znaleziono.

Przed kolejną carską wizytą w Białowieży mieszkańcy Podolan wystosowali do imperatora podanie, w którym prosili o pozwolenie na wypasanie bydła w lesie. Doręczenie petycji przypadło w udziale Antoniemu. Ten w niedzielę wyczekał momentu, gdy car wychodził z rodziną z cerkwi. Wtedy przedarł się przez potrójny szpaler kozaków, padł przed carem na kolana i położył kopertę na głowie. Car kazał wziąć list. Podanie załatwiono pozytywnie. Kozacy postanowili ukrócić takie „bohaterskie" praktyki i ukarać wiejskiego młodzieńca. Ten jednak wyczuł niebezpieczeństwo i na okres pobytu cara zamieszkał w lesie.

Mąż i sołtys

W 1889 roku dziadek ożenił się z moją babcią Maryną. Była jego sąsiadką, córką wójta Białowieży, Bazylego Waszkiewicza. Wyszła za mąż — jak mi mówiła — ze strachu. Chociaż nie należała znowu do takich lękliwych, dziadek stanowczo i twardo oznajmił jej, że zostanie jego żoną. Na muzykach powiedział, że przyjdzie w swaty, no i przyszedł.

Antoni okazał się bardzo troskliwym mężem. Po roku pobudował dom w Podolanach II. Po dwóch latach w zagrodzie była już stodoła i szopy. Mieli *czetwiertuchę* ziemi (potem doszedł *traciak*), w tym dużo łąk, trzymali więc liczne stado bydła. Zimą dziadek zarabiał w lesie jako wozak. Oboje ciężko pracowali, ale jak na owe czasy żyło im się dostatnio.

Babcia urodziła dziewięcioro dzieci, ale obowiązki macierzyńskie nie zwalniały jej od pracy w polu. Zimą przędła len i wełnę oraz tkała *kużel* na pościel i bieliznę, *zrebie* (białe i sine) na kaftany, spodnie i ręczniki, *radno* na kapy i andaraki oraz *wału* na worki i chodniki.

Przez długie lata współżycie Antoniego z Maryną układało się dobrze. Dziadek we wszystkim radził się żony i przeważnie postępował tak, jak mu kazała. Jedynie pod koniec życia miał zastrzeżenia do jej kuchni. Wtedy mawiał:

— Maryna, jak moja matka kapuśniak ugotowała, to już w sieni pachniał...

Pewnego razu babcia podała mu na kolację zacierki na mleku. W misce pływały tylko dwie, ale za to wielkości gęsiego jaja, kluski. Dziadek zdenerwował się i cisnął miską o podłogę. Babcia natychmiast chwyciła za pogrzebacz, a dziadek za *taukacz* (wałek do ubijania kartofli), ale, biedaczek, poślizgnął się na klusce i upadł. Wojna domowa była zażegnana.

W niedzielę rano dziadek strzygł brodę, przed lustrem starannie zaczesywał włosy i szedł do cerkwi. Tam stał zawsze po prawej stronie przy kolumnie. Po drodze z cerkwi oglądał swoje pola i łąki. Codziennie, skoro świt, klękał w sypialni przed ikoną i długo się modlił. Jak większość wiernych w owych czasach, ściśle przestrzegał postu. Jadał wówczas tylko pieczone lub gotowane ziemniaki z kapustą, albo posypane tłuczonym siemieniem lnianym, oraz chleb z wodą. W Wielką Sobotę dźwigał pełen *kaszel* (własnoręcznie zrobiony z łyka kosz) święconek. Były w nim drożdżowe buły, ser, jaja ufarbowane w cebulniku, sól, kiełbasa i połowa *kumpiaka* (szynki).

Już w 1919 roku, zaraz po ukonstytuowaniu się władzy w II Rzeczypospolitej, dziadka wybrano sołtysem. Funkcję tę pełnił przez dwadzieścia lat. Trzeba powiedzieć, że nie zawiódł zaufania współmieszkańców. Zaprowadził porządek w Podolanach I i Podolanach II. Bydło nie mogło chodzić samopas i wyrządzać szkód sąsiadom. Ścierniska mogły być wypasane dopiero gdy ostatnia *laszka* (kopka) zniknęła z pola. Dziadek potrafił wyegzekwować dla wsi odszkodowanie za straty wyrządzone przez jelenie, dziki i inne leśne zwierzęta

Przed wojną do Podolan przybywało bardzo wielu włóczęgów. Każdy z nich był przydzielany przez dziadka do którejś chaty na nocleg. Zdarzało się, że przyjmował ich też we własnym domu. Jeden z przybyszy przenocował u dziadka, rano został poczęstowany *kutią* zabielaną mlekiem i babką ziemniaczaną ze skwarkami, po czym podziękował za nocleg i śniadanie i wyszedł. Później okazało się, że zabrał ze sobą ślubne spodnie mego taty. Po tym incydencie dziadek zaczął przydzielać noclegi bardzo ostrożnie. Żądał okazania dokumentu tożsamości, wypytywał czym gość się zajmuje, dlaczego nigdzie nie pracuje. Pewnego razu do jego drzwi zapukał młody mężczyzna i poprosił o nocleg. Dziadek zapytał:

— A skul ty?

— Z Łodzi...

Dziadek, rozwścieczony, pamiętając o incydencie ze spodniami, zerwał się na równe nogi i ryknął:

— Szto?! Złodziej?! Paszoŭ won!

W 1938 roku za wysługę lat dziadek otrzymał odznaczenie — biało-czerwony znaczek z napisem Rzeczpospolita Polska. Z tego wyróżnienia był bardzo dumny.

Na strychu miał bardzo dużo pieniędzy: carskich rubli, niemieckich marek, polskich złotych z 1919 r. Stracił je, ciężko zapracowane — przy wywózkach w lesie, na budowie carskiego pałacu i na gospodarce. Największą stratę poniósł w 1939 r. Miał wówczas w PKO 7 tysięcy złotych oszczędności. Zabrała je wojna. Załamało to dziadka. Odtąd, siedząc na swoim miejscu w kuchni, często ukradkiem płakał.

W maju 1941 roku nagle zachorował. Dobę wygrzewał się na piecu, potem położono go do łóżka. Przywieziono do niego Olgę Niestierewną, felczera z Białowieży. Zbadała dziadka, który był już



Carski pałac w Białowieży

Repr. pochodzi z książki H. Kalcowa „Biełowieżskaja puszcza", 1903 r.

nieprzytomny i nie odpowiadał na żadne jej pytania. Zrobiła mu zastrzyk. Poczuł ból, bo syknął i poruszył ręką. Po zastrzyku zasnął. Obudził się i ostatkiem sił zerwał z łóżka. Zwlókł się do okna, smutnym wzrokiem pożegnał gonione ulicą na pastwisko jedno stado krów, drugie i, na koniec, stado owiec. Spojrzał na ogród, gdzie wszystko pięknie powschodziło. Pole też było już zasiane, wszystko się zazieleniło, zapowiadał się dobry urodzaj. Uspokojony położył się, zasnął i w nocy oddał ostatnie tchnienie.

Pogrzeb miał ładny. Był piękny majowy dzień. Koledzy zbili mu trumnę z grubych sosnowych desek i pomalowali na czarno. Ja pobiegłam do lasu, przyniosłam bukiet zawilców i włożyłam do trumny. Dziadek spoczął w ładnym miejscu cmentarza, pod dębem.

***

Bardzo żałuję, że miałam tylko dziesięć lat jak umarł. Mogłabym dowiedzieć się od niego wielu ciekawych rzeczy o życiu przodków — ich pracy, obyczajach, radościach i smutkach. W mej pamięci pozostał jak na ostatniej fotografii: typowy Słowianin, o okrągłej twarzy, żywych, srogich, niebieskich oczach i prostym, kształtnym nosie. Miał wówczas już siwe, gęste włosy i siwą, zadbaną brodę. Średniego wzrostu, szczupły, mimo podeszłego wieku poruszał się lekko i pewnie.

Lubiłam obserwować dziadka jak ostrzył kosę. Czynność tę wykonywał nadzwyczaj starannie, widać było, że wkładał w nią nie tylko wysiłek, ale i część swej duszy. Z powagą zakładał okulary i siadał przed domem na pieńku. Drugi, nieco wyższy, pieniek z wbitą babką stawiał między kolana i klepał zdjętą z kosiska kosę. Pewnego razu wypadło mu jedno szkło z okularów, co jednak nie przeszkadzało mu w pracy. Po pewnym czasie stłukło się i drugie, ale dziadek i z tym się pogodził. W dalszym ciągu, do końca swego życia, do tak poważnej czynności jak klepanie kosy zakładał swoje okulary, chociaż były bez szkieł.

Dziadek Antoni był mądrym, rozsądnym człowiekiem i potrafił wyciągnąć ze wszystkiego odpowiednie wnioski. Na pewno był postacią niezwykle barwną.

Takich wspaniałych, dorodnych i inteligentnych chłopów białoruskich w Podolanach było wielu.

Olga Rusko-Szurkowska

oprac. (jc)

Autorka wspomnień mieszka obecnie w Warszawie.

Ucieczka w struktury władzy

Okres Polski Ludowej niewiele miał wspólnego z demokracją, czyli ustrojem politycznym opartym na rządach reprezentantów wyłonionych w wolnych wyborach, w których świadomie uczestniczą obywatele danego kraju. Przez powojenne półwiecze w Polsce panowała „dyktatura proletariatu", a w rzeczywistości sprawowała władzę grupa, ukształtowana wyłącznie spośród członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — struktury wyraźnie zhierarchizowanej i funkcjonującej na zasadach wręcz feudalnych, w której włodarzami byli kolejni pierwsi sekretarze Komitetu Centralnego. W ich rękach skupiały się wszystkie instrumenty władzy. W pierwszej połowie lat 50., za czasów Bolesława Bieruta, dodatkowo olbrzymią rolę odgrywał Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, którego funkcjonariusze kontrolowali w Polsce prawie wszystko. W tym czasie statystycznie na 800 obywateli przypadał jeden pracownik UBP. W archiwach urzędu znajdowało się 5,2 mln teczek osobowych tzw. „elementu podejrzanego", tj. co trzeciego dorosłego obywatela Polski. Na temat liczby tajnych współpracowników-donosicieli statystyki milczą.

Mając wyobrażenie o obszarze działalności UBP, kontrolującego nawet życie prywatne zwykłych ludzi, można dojść do wniosku, że to obywatele służyli władzy i byli zmuszani do spełniania niekiedy najdziwniejszych pomysłów sekretarzy PZPR. Należy przy tym zastrzec, że ta krytyczna ocena nie koliduje z osiągnięciami w dziedzinie oświaty i z radykalną poprawą bytu materialnego ludności, co szczególnie odczuły wiejskie pokolenia urodzone w Polsce międzywojennej. Dla każdego człowieka przejście od stanu niemal głodowej wegetacji w chacie krytej strzechą do „miastowego" mieszkania w bloku, z bieżącą wodą i centralnym ogrzewaniem, jest nieocenionym skokiem cywilizacyjnym. Ta „zasługa" PZPR dotyczyła prawie wszystkich Białorusinów mieszkających obecnie w miastach. Odczucie rewolucyjnej zmiany na lepsze wśród tej społeczności potęgowało propagandowe przeciwstawianie przez partyjnych ideologów Polski Ludowej i Drugiej Rzeczypospolitej. Szkopuł jednak w tym, że w kapitalistycznej Europie w tym samym czasie poziom materialny życia ludności wzrósł znacznie bardziej niż w Polsce.

Obecnie w pamięci starszego pokolenia zatarły się niedogodności i represje czynione w latach 50. przez „władzę ludową". W dokumentach z tej epoki pozostały jednak wyraźne ślady antyludowej działalności sekretarzy PZPR i funkcjonariuszy UBP.

Niżej publikujemy „ściśle tajną" informację z 1954 r., sporządzoną w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku, dotyczącą sytuacji we wsi Chomontowce, obecnie w gminie Gródek. Dokument jest przechowywany w Archiwum Państwowym w Białymstoku. Opracowanie autorstwa oficera UBP jest bardzo soczystym opisem narzucenia indywidualnym rolnikom spółdzielczego sposobu gospodarowania. Do wstępowania do spółdzielni produkcyjnej zmuszano głównie członków PZPR, ale ich opór był tak duży, że wielu uciekło z Chomontowców. Co dziwniejsze jednak — część z nich weszła w struktury władzy, która wcześniej ich prześladowała. W Komitecie Wojewódzkim PZPR w Białymstoku podczas analizowania tej sprawy dopuszczano nawet możliwość zwolnień z nowych posad uciekinierów z Chomontowców. Jednak w aktach brak jest informacji, czy rzeczywiście do tego doszło.

Ostatecznie w tej wsi nie powiodła się próba stworzenia „socjalistycznego rolnictwa". Obecnie Chomontowce przedstawiają żałosny widok zaniedbanej i zapomnianej przez wszystkich miejscowości.

Sławomir Iwaniuk

Informacja

Na podstawie posiadanych materiałów oficjalnych i agenturalnych stwierdza się co następuje.

Gromada Chomontowce jest biedniacko-średniacka. Do 1948 r., do dnia 25 maja, znajdowała się na terytorium ZSRR, gdzie była silnie rozbudowana organizacja komsomolska, a po wyprostowaniu granicy po linii „Curzona" gromada ta przeszła na teren Polski. Na bazie istniejącej tam organizacji komsomolskiej powstała liczna organizacja partyjna.

W miesiącu sierpniu 1953 r. założona

została spółdzielnia produkcyjna, do której wstąpiło 13 członków rekrutujących się z mało i średniorolnych chłopów — przeważnie członkowie PZPR. Między innymi na przewodniczącego spółdz[ielni] produkcyjnej wybrano Stryszko Michała s. Konstantego, czł[onka] PZPR, który po zapisaniu się do spółdzielni prod[ukcyjnej] opuścił teren gromady Chomontowce udając się na Ziemie Odzyskane do pracy w PGR, gdzie pracuje do chwili obecnej; z kolei zaś przystąpił jego ojciec Stryszko Konstanty, członek PPR, który w/g opinii publicznej nie cieszy się należytym autorytetem wśród ludności zamieszkałej w tej gromadzie, mówi dla ludności, że nie należy spłacać składek PZU dla państwa, gdyż to nie jest konieczne, ponadto posiada poważne zaległości w spłacaniu względem państwa za lata ubiegłe, tym samym hamuje realizację planów finansowo-gospodarczych przez swoją gromadę, gdyż ludności mówi, że: on — członek partii — nie chce płacić należności dla państwa, to z jakiej racji my mamy płacić.

Giedzicz Włodzimierz s. Jana, czł[onek] PZPR, zapisał się do spółdzielni tylko dlatego, ażeby pracować w charakterze sklepowego, lecz z chwilą rozpoczęcia się akcji wiosenno-siewnej opuścił teren gromady Chomontowce i obecnie pracuje na PKP w Białymstoku, ze sklepowego został usunięty.

Doroszkiewicz Stefania, w wieku ok. 55 lat, do pracy zespołowej nie chce wychodzić i wypowiada się, że ona nie podpisała deklaracji o wstąpieniu do spółdz[ielni] prod[ukcyjnej], a podpisał się za nią sekretarz K[omitetu] G[minnego] PZPR w Krynkach tow. Wiszejko Aleksander podrabiając za nią podpis w formie krzyżyków jako za niepiśmienną.

Jarosz Jan, s. Jana, czł[onek] PZPR, po zapisaniu się do spółdzielni produkcyjnej opuścił teren gromady i obecnie pracuje w szpitalu w Białymstoku w charakterze kier[ownika] kadr.

Mikuć Natalia, syn której pracuje w K[omitecie] P[owiatowym] PZPR w Sokółce, po zapisaniu się do spółdzielni produkcyjnej opuściła teren gromady udając się do swego syna, gdzie przebywa do chwili obecnej.

Giedzicz Lidia, mąż której należy do PZPR i pracuje w spółdzielni szewskiej w Chomontowcach, do pracy zespołowej nie chce wchodzić wypowiadając się, że ziemia jest żony, to niech ona pracuje jak ona zapisała się do spółdzielni prod[ukcyjnej].



Świron we wsi Kruszyniany **Fot. Jerzy Osiennik**

Mikuć Dziemian, zam[ieszkały] na miejscu, jest w starszym wieku, posiada słaby stan zdrowia, do pracy nie wychodzi, syn jego Mikołaj pracuje w K[omitecie] M[iejskim] PZPR w Łodzi, drugi zaś w Pow[iatowym] Z[arządzie] ZMP w Sokółce. Wspomniany Mikuć Dziemian pracuje z synem Piotrem, który należy do PZPR, na swoim gospodarstwie, nienależycie wywiązują się z nałożonych na nich obowiązków względem państwa, tym samym zniechęcają innych gospodarzy do realizacji świadczeń względem państwa.

Doroszkiewicz Agata, lat ok. 65, niezdolna do pracy całkiem, nie posiada żadnych środków materialnych do życia.

Sewastianiuk Wiera, mąż której pracuje w KP PZPR w Sokółce, również po zapisaniu się do spółdzielni wyjechała do Sokółki i tam zam[ieszkuje] do chwili obecnej.

Lewczuk Wiera, wdowa, syn której należy do PZPR, do pracy nie wychodzi.

Uściłowicz Anna, żona Bazylego, syn której służy w Odrodzonym Wojsku Polskim w stopniu porucznika, natomiast mąż jej Bazyl nie wyraził chęci zapisania się do spółdzielni produkcyjnej. Obecnie w/w pracuje na swoim gospodarstwie.

Ponadto do spółdz[ielni] prod[ukcyjnej] zapisał się Jarosz Aleksander s. Michała, czł[onek] PZPR, pracuje w spółdzielni szewskiej jako kierownik tej spółdzielni. Do pracy zespołowej nie jest chętny.

W chwili obecnej spółdzielnia składa się z 8 członków, w tym 5 kobiet oraz 3 mężczyzn, do pracy zespołowej w tegorocznej kampanii wiosenno-siewnej nie przystąpili, gdyż jak wykazuje analiza posiadanych materiałów, nie mieli oni odpowiednich środków materialnych, brak było narzędzi rolniczych, co oczywiście nie było brane pod uwagę w czasie organizacji spółdzielni produkcyjnej. Ponadto po opuszczeniu terenu gromady przez w/w członków w gromadzie wytworzyła się sytuacja niezadawalająca. Z analizy materiałów wynika, że w chwili organizacji spółdzielni produkcyjnej w gromadzie Chomontowce, gdzie brali udział towarzysze: Zielenkiewicz Jan z KP PZPR, Wiszejko Aleksander — sekretarz KG PZPR oraz kier[ownik] Wydziału Politycznego P[owiatowego] O[środka] M[aszynowego] w Buchwałowie Jurgiel, nienależycie podchodzili do poszczególnych gospodarzy wyrażających chęć wstąpienia do spółdzielni produkcyjnej. Namawiali w/w, aby zapisywali się do spółdzielni produkcyjnej, szczególnie członków partii, obiecując przed zapisaniem się, że: wy w spółdzielni i tak nie będzie[cie] pracować, a z chwilą gdy wstąpicie do spółdzielni, to wam damy pracę w instytucjach państwowych. O powyższym mogą stwierdzić: Giedzicz Jakim i Jarosz Mikołaj. Ponadto ob. Giedzicz Jakimowi, który pracuje w warsztacie szewskim jako szewc, mówiono: o ile nie wstąpisz do partii i do spółdzielni produkcyjnej, to zostaniesz wydalony z pracy w warsztacie szewskim. W/w w obawie przed wydaleniem go z pracy wstąpił w szeregi PZPR oraz namówił swoją żonę, aby zapisała się do spółdzielni produkcyjnej, która oczywiście tylko podpisała deklarację, lecz do pracy nie wyszła. Analogicznie przedstawia się sprawa z ob. Giedzicz Włodzimierzem i Jarosz Aleksandrem, którzy są cz[łonkami] PZPR.

Kuropaty — polski ślad



W księgarniach pojawiła się książka o Kuropatach, pewnie cię zainteresuje — poinformował mnie podczas rozmowy telefonicznej kolega pasjonujący się historią Białorusi. Niezwłocznie udałam się pod wskazany adres, żeby przekonać się, czy zarekomendowana pozycja jest godna uwagi. Po przejrzeniu postanowiłam ją kupić (za 21 zł 20 gr), gdyż wydawało mi się, że tytuł kryje w sobie mylące skojarzenia.

Książkę „Kuropaty. Polski ślad" napisał białoruski dziennikarz Jauhien Harelik. Z języka rosyjskiego przetłumaczyła ją Urszula Mikołajczyk, a wydały Oficyna Wydawnicza „Rytm" i Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa.

Rekomendując książkę czytelnikom tłumaczka napisała m.in.: „Ta praca, jak każda służąca prawdzie, choćby nawet zbieranej z okruchów, jest cenna. Ale sądzę, że w tej książce najcenniejsze jest to, iż powstała ona na Białorusi, gdzie nie ma nadal dobrego klimatu dla odkrywania prawdy o mrocznych czasach stalinizmu. Gdzie ujawniane fakty zakrzykiwane są nadal przez licznych piewców „wielkiego i niezwyciężonego" państwa. (...) Ta książka napisana została w kraju pełnym pomników Lenina, Dzierżyńskiego. (...) W tym kraju, co polskiemu Czytelnikowi może być trudno pojąć, a więc i docenić, mówienie prawdy nadal jeszcze wymaga cywilnej odwagi" (ss. 278-279).

Niewiele pisze się w Białorusi, nie mówiąc już o Polsce, o represjach stalinowskich. A jednym ze znanych miejsc, gdzie dokonano zbrodni ludobójstwa, był las pod Mińskiem, w uroczysku zwanym Kuropaty.

Światowa opinia publiczna o Kuropatach dowiedziała się dopiero w 1988 roku. 3 czerwca białoruski tygodnik „Litaratura i Mastactwa" opublikował artykuł Zianona Paźniaka i Jauhiena Szmyhalowa „Kuropaty — daroha śmierci", zaczynający się następującymi słowami: „To, o czym chcemy opowiedzieć Czytelnikom, wielu jest już znane. Widocznie jednak, podobnie jak my sami, również inni, którzy o tym wiedzieli, przeszli nad tym do porządku dziennego i trwali w milczeniu. Dla nas to milczenie stało się nie do zniesienia. Nie do zniesienia z powodu świadomości, że czas biegnie szybko, odchodzą ludzie, zabierając ze sobą pamięć o straszliwych zbrodniach przeciwko ludzkości dokonanych w latach 30. Nie do zniesienia z powodu świadomości, że jeśli zginie owa pamięć — to wszystko powtórzy się od początku".

Autorzy zebrali relacje świadków masowych rozstrzeliwań w lesie kuropackim, który po wybudowaniu osiedla mieszkaniowego Zialony Łuh zamieniono w miejsce wypoczynku dorosłych i dzieci.

Młodzi chłopcy, Ihar Baha, Wiktar Piatrowicz i Alaksandar Makruszyn, kopiąc ziemiankę, natrafili na ludzkie kości. Pokazali je członkom ekspedycji archeologicznej z Instytutu Historii Akademii Nauk BSRR, która 5 maja 1988 r. prowadziła wykopaliska w Kuropatach. Był to pierwszy ślad potwierdzający relacje świadków.

Po ukazaniu się artykuły, 30 czerwca, prokurator wszczął śledztwo i podjął decyzję o ekshumacji. Ekshumacja została zlecona grupie archeologów z Instytutu Historii Akademii Nauk: Zianonowi Paźniakowi, Mikołajowi Krywalcewiczowi i Alehowi Iou. Wykopaliska prowadzono między 6 i 15 lipca 1988 r. Odkryte masowe groby ludzkie, szczątki obuwia, ubrań, rzeczy osobiste, przestrzelone od tyłu czaszki świadczyły, że masowych zbrodni dokonano w latach 1937-1941. Rezultaty ekshumacji opisał członek ekspedycji, Zianon Paźniak, w artykule „Szumiać nad mahiłaj sosny („Litaratura i Mastactwa", 16.09.1988 r.).

Po tych wstrząsających odkryciach powołano komisję rządową, w skład której weszli pisarze Wasil Bykau i Iwan Czyhrynau, malarz Mikoła Sawicki, ministrowie sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, przewodniczący sądu najwyższego, uczeni, przedstawiciele organizacji społecznych. Dochodzeniem kierował prokurator do spraw o szczególnym znaczeniu, Jazep Brolisz ze współpracownikami, Siarhiejem Kowrigi, Natalią Niczyporenko, Aleksandrem Abadouskim. Nadzór nad śledztwem, mającym ujawnić wszystkie fakty związane ze sprawą, objął zastępca prokuratora generalnego BSRR Uładzimir Kondratiew. Chociaż oficjalne komunikaty władz stwierdzały, że w urzędach państwowych i archiwach KGB nie znaleziono materiałów zawierających jakiekolwiek informacje o tragedii, w Kuropatach, w dociekanie prawdy z własnej inicjatywy zaangażowali się historycy i archiwiści.

Autor książki, zawodowy dziennikarz, Jauhien Harelik, urodzony w Koroliszczewiczach pod Mińskiem, dotarł do interesujących materiałów archiwalnych i świadków tamtych wydarzeń. Wprawdzie nie udało mu się ustalić kompletnych list rozstrzelanych, ale w książce znalazły się łącznie 873 nazwiska osób aresztowanych bądź zabitych. Jak sam pisze „pochodzą one z meldunków operacyjnych NKWD oraz ze sprawozdań o wykonaniu partyjnych dyrektyw i rozkazów bojowych o likwidacji i represjonowaniu" (s. 128). W poszczególnych rozdziałach autor zamieścił nazwiska 80 aresztowanych i 151 skazanych. Na koń-



cu publikacji znajduje się, zawierający 632 nazwiska, wykaz osób represjonowanych przez NKWD, sporządzony na podstawie dokumentów i publikacji prasowych.

Uzasadniając „polski ślad" w tytule pracy, Harelik powołuje się na polski rodowód („zrodzeni z polskiej matki") i polską przynależność państwową („kraj nad Niemnem i Wisłą") zamordowanych, dowody rzeczowe znalezione w czasie ekshumacji, rzeczy osobiste z napisem „Made in Poland". Jednak podczas szczegółowej analizy wykazu zamordowanych i informacji o uzasadnieniach wyroków skazujących, taka metodologia budzi wiele wątpliwości. U wszystkich bowiem wymienia się „szpiegostwo na rzecz Polski" lub „na rzecz polskiego wywiadu". Dziś wiadomo, że był to powszechnie wykorzystywany pretekst w procesie systematycznego niszczenia przez komunistów białoruskiej inteligencji, która z polskością, a tym bardziej — z polskim wywiadem — nie miała nic wspólnego. Żeby nie być gołosłowną, przytoczę kilka znanych nazwisk zaczerpniętych z książki.

Uśpienski Eugeniusz (Jauhien — przyp. — H. G.), syn Konstantego, profesor Instytutu Pedagogicznego w Homlu. Skazany 28 października 1937 r. przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR na karę śmierci jako „aktywny członek kontrrewolucyjnej, nacjonalistyczno-faszystowskiej polskiej szpiegowsko-terrorystycznej organizacji". Rozstrzelany 29 października 1937 r. w Mińsku (s. 50).

Synowie Usiewałada Ihnatouskaha, represjonowanego prezesa Akademii Nauk BSRR, ojca białorutenizacji w latach 20. Jerzy, urodzony w 1911 r., jako domniemany członek „polskiej kontrrewolucyjnej, terrorystycznej grupy" na mocy decyzji Komisji NKWD ZSRR i Prokuratora Generalnego ZSRR skazany 22 września 1937 r. na karę śmierci; rozstrzelany 14 października 1937 r. w Mińsku. Walenty, urodzony w 1916 r., skazany 22 września 1937 r. jako rzekomy „przywódca polskiej kontrrewolucyjnej grupy terrorystycznej", rozstrzelany 3 października 1937 r. w Mińsku (ss. 173-174).

Maria Ihnatouska, urodzona w 1884 r., żona Usiewałada, skazana 16 V 1938 r. przez specjalne zebranie przy NKWD

Wśród wymienianych nazwisk spotykamy wiele pochodzących z Białostocczyzny, jak np. Sytycha Łuki, urodzonego w Bondarach, inspektora działu w Zarządzie Obrony Powietrznej NKWD BSRR, skazanego 23 listopada 1938 r. za „działalność szpiegowską na rzecz Polski" na karę śmierci (s. 268), Józefa Nikitorowicza, urodzonego w 1894 r. w Mielniku, strażaka, skazanego 19 sierpnia 1938 r. na 5 lat obozów pracy jako domniemanego agenta polskiego wywiadu, zmarłego w obozie podczas odbywania kary (s. 255), Juliana Gradowskiego, urodzonego w 1896 r. w Sidrze, dziennikarza gazety „Sawieckaja Biełaruś", skazanego 8 sierpnia 1927 r. za „szpiegostwo na rzecz Polski" na 3 lata obozów koncentracyjnych (s. 220); Antoniego Matiejczuka (Matejczuka — przyp. H. G.?), urodzonego w 1901 r. w Ogrodniczkach, inspektora Zarządu Kinematografii BSRR, skazanego 6 grudnia 1937 r. za domniemaną przynależność do agentury polskiego wywiadu na karę śmierci, wykonaną 29 stycznia 1938 r. w Mińsku (s. 174).

ZSRR na 8 lat obozów pracy (s. 147).

Michaś Kudzielka-Czarot, urodzony w 1896 r., pisarz białoruski, redaktor naczelny gazety „Sawieckaja Biełaruś". Skazany 28 października 1937 r. przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR jako „agent polskiego wywiadu" na karę śmierci. Rozstrzelany 29 października 1937 r. w Mińsku (s. 239).

Paweł Kryńczyk, urodzony w 1898 r. Poseł na Sejm w latach 1929-1930, skazany 1 kwietnia 1936 r. przez zebranie specjalne przy NKWD ZSRR na 5 lat obozów pracy za „powiązania z organami wywiadowczymi burżuazyjnej Polski" (s. 238).

Z badań nad historią Białorusi radzieckiej wiem, jak niewiele było trzeba, aby zostać posądzonym o współpracę z polskim wywiadem. Wystarczyło mieć polsko brzmiące nazwisko lub imię, urodzić się w Polsce, znać język polski, mieć rodzinę w Polsce itp. Szkoda zatem, że autor potraktował dosłownie i bezkrytycznie „polski ślad" w wyrokach ferowanych przez NKWD, w książce bowiem nie ma żadnego uzasadnienia użycia takiego tytułu. O polskości skazanych nie mogą przecież świadczyć szczątki butów z napisem „Made in Poland".

Myślę, że dużo ważniejszą zasługą autora książki, niż doszukiwanie się „polskiego śladu", jest ustalenie danych dotyczących np. dat śmierci czy rehabilitacji niektórych osób. Wśród wymienianych nazwisk spotykamy wiele pochodzących z Białostocczyzny, jak np. Sytycha Łuki, urodzonego w Bondarach, inspektora działu w Zarządzie Obrony Powietrznej NKWD BSRR, skazanego 23 listopada 1938 r. za „działalność szpiegowską na rzecz Polski" na karę śmierci (s. 268), Józefa Nikitorowicza, urodzonego w 1894 r. w Mielniku, strażaka, skazanego 19 sierpnia 1938 r. na 5 lat obozów pracy jako domniemanego agenta polskiego wywiadu, zmarłego w obozie podczas odbywania kary (s. 255), Juliana Gradowskiego, urodzonego w 1896 r. w Sidrze, dziennikarza gazety „Sawieckaja Biełaruś", skazanego 8 sierpnia 1927 r. za „szpiegostwo na rzecz Polski" na 3 lata obozów koncentracyjnych (s. 220); Antoniego Matiejczuka (Matejczuka — przyp. H. G.?), urodzonego w 1901 r. w Ogrodniczkach, inspektora Zarządu Kinematografii BSRR, skazanego 6 grudnia 1937 r. za domniemaną przynależność do agentury polskiego wywiadu na karę śmierci, wykonaną 29 stycznia 1938 r. w Mińsku (s. 174). Skazani byli przedstawicielami różnych grup zawodowych: robotników, inteligencji, nawet pracowników NKWD.

Autor, sam członek komisji rządowej, stwierdza, że nie udało się ustalić listy osób rozstrzelanych w Kuropatach na podstawie kwerendy archiwalnej, chociaż z dokumentów przechowywanych w KGB wynika, że pomiędzy rokiem 1920 i 1940 na terytorium Białorusi rozstrzelano łącznie 25 064 osoby (s. 65).

Harelikowi udało się m.in. dotrzeć do córki Aleksandra Czerwiakowa, pierwszego przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego Komunistycznej Partii Białorusi — Zofii, oraz byłych pracowników NKWD i strażników więziennych.

Wśród dokumentów archiwalnych odnalezionych przez autora w Archiwum Narodowym Białorusi warte uwagi jest m.in opublikowane w książce „Operatywne rozporządzenie komisarza ludowego spraw wewnętrznych ZSRR Nr 00447 o operacji represjonowania kułaków, kryminalistów i innych antyradzieckich elementów" z 30 lipca 1937 r. (ss. 75-82), czy „Informacja specjalna" Ławrentija Canawy z czerwca 1941 r.

Żywy, reporterski opis poszukiwań ofiar i ich katów dobrze świadczy o dociekliwości autora książki.

Relacje świadków, przeplatane fragmentami dokumentów, listami aresztowanych i skazanych, protokołami z ekshumacji, unaoczniają prawdę o mechanizmach zbrodni stalinowskich w Białorusi. W zakończeniu Jauhien Harelik zastanawia się, ile jest takich miejsc jak to, w Kuropatach. Po 17 września 1939 r. w Zachodniej Białorusi np. utworzono 6 więzień NKWD: w Mołodecznie, Oszmianach, Brasławiu, Postawach, Święcianach i Głębokiem. Istnieją uzasadnione przypuszczenia, że masowych egzekucji dokonywano w rejonach Mohylewa, Mozyrza, Orszy, Witebska, Czerwienia.

Lektura książki „Kuropaty. Polski ślad" sprawia wrażenie, że autor pisał ją na zamówienie polskiego wydawcy. Mimo to pełno w niej akcentów białoruskich, widocznych np. w wykazach osób, cytowanych dokumentach, prowadzonych rozmowach. Poza archiwaliami, dokumentami śledztwa, wywiadami, autor wykorzystał także publikacje białoruskie (s. 198), wśród których bardzo cenne jest opracowanie Uładzimira Adamuszki „Palitycznyja represii 20-50-ych hadou na Biełarusi" (Minsk 1994). W analizie literatury przedmiotu zabrakło natomiast wydanej w Mińsku w 1994 r. książki „Kurapaty: artykuły, nawukowaja sprawazdacza, fotazdymki", autorstwa Zianona Paźniaka, Jauhiena Szmyhalowa i Mikoły Krywalcewicza.



Recenzowana książka przybliża czytelnikowi najnowszą historię Białorusi, powoli odchodzącą w niepamięć wraz z jej naocznymi świadkami. Pokazuje, jak duże znaczenie mają spisane przekazy uczestników i obserwatorów wydarzeń dla poznania prawdy historycznej. Kuropaty są symbolem odrodzenia narodowego Białorusinów u schyłku lat 80. dlatego też warto tę książkę przeczytać, żeby lepiej zrozumieć aktualne wydarzenia polityczne w Białorusi.

Helena Głogowska

Fot. Archiwum „Dieło" (1988 r.)

Jewgienij Gorelik, *Kuropaty. Polski ślad*, Warszawa 1996, s. 278.

Страчаная Ітака

Ніхто так доўга не чакаў адраджэння беларускай незалежнай дзяржаўнасці, як беларуская палітычная эміграцыя ў „вольным свеце". Нідзе таксама не цешыліся так з прычыны абвяшчэння суверэнітэту Рэспублікі Беларусь. Фаталізм беларускага лёсу можа аднак прычыніцца да таго, што чаканае эмігрантамі 50 гадоў свята, напрыканцы іх жыцця пераменіцца ў вялікі смутак, з якім трэба будзе адыходзіць у лепшы свет.

Калі ў напрузе чакаеш чагосьці доўгі час, як прынцып, твае спадзяванні становяцца больш гнуткімі. Тое ж можна сказаць і пра эмігрантаў. Людзі, якія ў сэрцы насілі даўно выспелую і скрышталізаваную ідэю незалежнай і дэмакратычнай Беларусі, пагадзіліся з — як здавалася — пераходным этапам „суверэннасці" — яшчэ няпоўнай незалежнасці, калі лёс даў у рукі саветаў шанц пабудаваць беларускую дзяржаву. Пэўна, што хацелася мець усё адразу: **беларускіх** палітычных лідэраў пры ўладзе, **беларускія** грошы, армію, квітнеючую культуру і школьніцтва, беларускую Праваслаўную царкву і Рымска-каталіцкі касцёл... Трэба было аднак цешыцца і дзякаваць Богу прынамсі за тое, што ёсць. Яшчэ і таму, што стварэнне незалежнай Беларусі ў пачатку дзевяностых гадоў супала ў часе з пачаткам канца бурлівай палітычнай, культурнай і рэлігійнай дзейнасці амерыканскіх беларусаў. Час, які даканаў бальшавіцкую сістэму, забраў таксама дзесяткі і сотні найбольш актыўных з эмігрантаў. Другое і трэцяе пакаленне — гэта ўжо амерыканцы, часта беларускамоўныя, аднак поўнасцю падпарадкаваныя ўмовам жыцця ў свеце, у якім усё вырашаюць грошы.

Пасля таго, як усё жыццё абзывалі цябе „фашысцкім прыхвасням", „здраднікам", „гнілым капіталістам", нялёгка было паехаць у Беларусь, сустракацца з такімі „сябрамі". Нялёгка таксама гаварыць з сярэднім савецкім чалавекам, якому пяцьдзесят гадоў убівалі ў чэрап, што прычынай усіх яго няшчасцяў з'яўляецца гнілы буржуазны свет, значыць, і ты сам.

Нягледзячы на ўсё гэта, яны дапамагалі ўсім, як маглі — на пачатку сем'ям і знаёмым, з якімі маглі сустрэцца пасля паўвеку. Затым усім, хто загаварыў па-беларуску. Пачаліся выезды з і ў Беларусь, сустрэчы, канферэнцыі, звычайныя знакомствы людзей.

Міф Амерыкі задзейнічаў і ў Мінску. Пачаліся спекуляцыі, маўляў, эмігранты дапамогуць стануць Бацькаўшчыне на ногі, падкінуць долары, а калі не — дык прынамсі падкажуць, адкуль іх узяць. Яны не адмаўляліся, слушна, здаецца, лічачы, што не трэба адбіраць надзею ў людзей.

Як гэта бывае ў жыцці — не абышлося без расчараванняў — савецкія людзі, якія першы кантакт з шырокім светам мелі дзякуючы суродзічам за акіянам, паказалі на сваім прыкладзе, што зрабіла з людзей бальшавіцкая сістэма. Нямала „ілжэбеларусаў" нажыліся такім чынам, прыкідваючыся нацыяналістамі ці дэмакратамі. Сваю долю мелі ў гэтым таксама „нашы людзі" з Беласточчыны — усяго толькі этнічныя беларусы, для якіх эміграцкія асяродкі ў Амерыцы сталі цынічна запланаваным прытулкам у заваяванні нават жыццёвай прасторы. Асаблівую славу, пра што горка ўспамінаць, прыдбалі сабе святары выехаўшыя ў Амерыку, пра большасць якіх ніхто не скажа інакш як „прайдзісветы".

Калі ты ведаеш усё гэта, а то і многа болей, не так ужо цяжка зразумець адчуванні гэтых людзей, прымушаных на свой спосаб цярпець здзек варвараў канца дваццатага стагоддзя над нацыянальным беларускім гонарам.

***

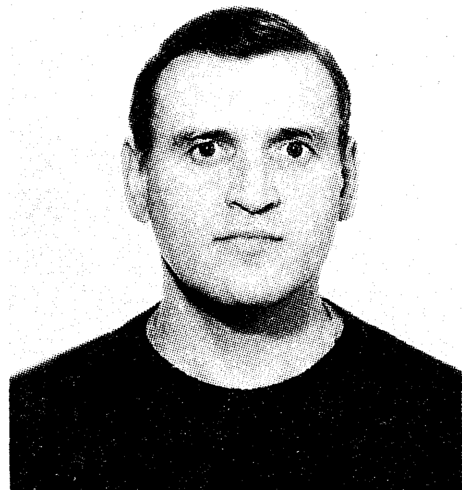
Пішу гэтыя сумныя радкі, адчуваючы абавязак даць сведчанне пабачанай і пачутай амерыканска-беларускай рэчаіснасці. На прывядзенне дэталяў эміграцкага лёсу, у менш меланхалічна-лірычнай форме, прыйдзе, відаць, яшчэ час.

Юры Каліна, фота аўтара





Беларускія эмігранты перад беларускім і расейскім пасольствамі 5 чэрвеня г.г. на дэманстрацыі ў падтрымку дэмакратыі на Бацькаўшчыне. Крык эпігонаў нязбытнай ідэі?



АНАТОЛЬ СЫС нарадзіўся ў вёсцы Гарошкаў Рэчыцкага раёна Гомельскай вобласці ў 1959 годзе. Скончыў гісторыка-філалагічны факультэт Гомельскага універсітэта. Працаваў карэспандэнтам, літкансультантам, на тэлебачанні. Аўтар двух зборнікаў паэзіі — „Агмень" і „Пан Лес".

Колькі

Колькі нашай крыві
рэкі сплавілі ў моры?..
Колькі нашага поту
увабралі разоры?..

Колькі нашага шчасця
ліхадзеі раскралі?..
Колькі нашых каханак
паланянкамі сталі?..

Колькі нашай любові
не спазнала Радзіма?..
Колькі вояў-сыноў
не счакала радзіна?

Колькі, колькі, дык колькі ж
сваё крэўнае траціць?
За дзяцей каб адплакаць —
не стае слёз у маці.

Колькі, колькі, дык колькі ж
адмаўляць сабе ў праве
шанаваць свае месца
на чырвонае лаве?

Колькі, колькі, дык колькі ж
азірацца на сонца?
Як аслепнем дашчэнту —
гэтак жыць нам бясконца.

ВІКТАР СТАХВЮК нарадзіўся 1 чэрвеня 1948 г. у Трасцянцы. Закончыў бельскі белліцэй, беларускую філалогію у Варшаўскім універсітэце, 2 гады (завочна) у Маскве - на рускай філалігіі, 2 гады у Акадэміі навук Польшчы на гісторыі, 2 гады ў Беластоку — на тэлеаўтаматыцы. 10 гадоў быў інструктарам вадалазаў. Выкладаў у Пединстытуце ў Чэнстахове. 2 гады быў сакратаром ГП БГКТ, 2 — каардынатарам БДА. Мастак (меў выстаўкі ў Польшчы і за мяжой). Член Літаратурнага аб'яднання „Белавежа". Цяпер — бізнесмен.



***

pokinuty u nebosiažnuj mhliye
ślipy na prawdu
hłuchi na ruodny słowa
życia brentajesz swoho janczarny wzuor
i ranisz
zwonom czużoji bołtowniye
czasoprostuor
odwediany twojuoj simjiye w światyni rodu
de prodki
pokinuwszy zemnuju sujetu
hlidiat
jak z reszeta twojoho losu
osypajećcie bliskucze nic
zbutwiyełym porochom w nebyt
koli dusza twoja
okutana czużym radnom
lakliwym morszczyćcie wstydom

Dyżurnym tematem w prasie ostatnimi laty (szczególnie w okresie wiosny i lata) są kleszcze oraz choroby przez nie przenoszone. Artykuły o nich przyczyniły się w dużym stopniu do tego, że mieszkańcy miast zaczynają stronić od leśnych kompleksów, łąk, parków, w ogóle — od przyrody, by nie być narażonym na przykre konsekwencje kontaktu z tymi największymi (długość samców 2,5 mm, samic — 4 mm) i najwyżej zorganizowanymi roztoczami. Czy rzeczywiście należy bać się kleszczy?

Osobiście jestem zdania, że nie! A już na pewno nie powinny one zrażać człowieka do kontaktu z przyrodą. Zamykanie się w telewizyjno-komputerowym getcie wychodzi na złe przede wszystkim samemu człowiekowi, który przecież nie może żyć bez rekreacji. Owszem, wybierając się do lasu należy zachować szczególną ostrożność i odpowiednio się zabezpieczyć. Trzeba też wiedzieć, że nie każdy bezpośredni kontakt z kleszczem od razu musi się zakończyć przykrymi następstwami, czyli chorobą. Specjaliści twierdzą, że na obszarach endemicznych (a więc o najwyższym ryzyku zakażenia!) tylko co pięćdziesiąty lub setny kleszcz jest nosicielem chorobotwórczego wirusa. Zresztą, niekoniecznie trzeba iść do lasu, żeby złapać kleszcza. Równie dobrze on sam może przyjść do naszego domu, np. w bukieciku kwiatów łąkowych podarowanych dziewczynie przez chłopca lub na skórze naszych domowych czworonogów.

Na świecie występuje 810 gatunków kleszczy, z tego w Europie — 60. W Polsce potwierdzono występowanie 20 gatunków. Pięć dalszych, zdaniem dyrektora Białowieskiego Parku Narodowego Czesława Okołowa, migruje do nas w różny sposób, najczęściej drogą morską lub koleją, wraz z przewożonymi zwierzętami. Najpopularniejszy i najważniejszy w znaczeniu epidemiologicznym jest kleszcz pospolity. Spotyka się go w całym kraju, najczęściej w środowiskach wilgotnych, a więc lasach mieszanych i liściastych, borach mieszanych ze świerkiem, na obrzeżach lasu, łąkach śródleśnych, pastwiskach w pobliżu lasu, w lasach o silnie rozwiniętej warstwie runa i krzewów. Nie występuje w środowiskach suchych, nadmiernie wilgotnych i w najwyższych partiach gór. Uzależnienie od wilgoci powoduje, że kleszcz pospolity pojawia się w okresach intensywnych opadów, natomiast rzadko występuje w okresie upałów.

Te wstrętne kleszcze!



Choroby przenoszone przez kleszcze

to: wirusowe (kleszczowe) zapalenie mózgu oraz borelioza z Lyme (inaczej krętkowica kleszczowa). Kleszcze mogą ponadto powodować piroplazmę, erlichiozę, niektóre riketsjozy, np. kompleks gorączek guzkowych, oraz gorączki krwotoczne.

Do zarażenia wirusem (z rodzaju *Flaviviridae*) kleszczowego zapalenia mózgu dochodzi najczęściej w wyniku ukłucia przez zakażonego kleszcza (naturalnymi gospodarzami wirusa są zwierzęta kręgowe, głównie dzikie gryzonie, małe ssaki leśne, ptaki), ale choroba może szerzyć się również drogą pokarmową w wyniku picia surowego mleka czy spożywania sera pochodzącego od zarażonych krów, kóz i owiec. Największe nasilenie zachorowań występuje od kwietnia do października, ze szczytem, związanym z aktywnością kleszczy, w czerwcu i wrześniu. Dotychczas największą liczbę zachorowań na tę chorobę odnotowano w województwach: białostockim, suwalskim, olsztyńskim i ostrołęckim.

Podstawowymi objawami kleszczowego zapalenia mózgu są: gorączka, bóle głowy, mięśni, stawów, a ponadto objawy nieżytu górnych dróg oddechowych i dolegliwości żołądkowo-jelitowe. Jest to pierwsza faza choroby, po której przychodzi krótkotrwała poprawa. Druga faza następuje niespodziewanie, przynosząc poważniejsze objawy, m.in. gorączkę do 40° C, zaburzenia świadomości, śpiączkę, zmiany nastroju, tendencje samobójcze, depresję, bóle i zawroty głowy, niedosłyszenie, wymioty, obniżenie ciśnienia tętniczego, zapalenie spojówek.

Boreliozę z Lyme opisano dopiero przed kilkunastu laty, choć jej objawy znane były medycynie od stu lat. Ta układowa choroba cechuje się wieloma objawami dermatologicznymi, reumatologicznymi, neurologicznymi i kardiologicznymi. U 50-80 proc. chorych występują zmiany skórne i rumień wędrujący. Chorobę powodują krętki *Borelia burgdorferi* i *B. garinii*, przenoszone w Eurazji przez kleszcza pospolitego i tajgowego. Ujawnia się ona w czasie od kilku dni do jednego i więcej miesięcy. U niektórych osób objawy boreliozy z Lyme mogą wystąpić nawet w kilka lat po zakażeniu. W Polsce przypadki tej choroby najczęściej notuje się na Pojezierzu Mazurskim i w Puszczy Białowieskiej, ale nie są od niej wolne także inne regiony kraju. Przeciwko

kleszczowemu zapaleniu mózgu

w Polsce stosowane są szczepionki: FSME-IMMUN inject, produkowane przez austriacką firmę IMMUNO oraz FSME-Vaccine produkowane przez niemiecką firmę BEHRING. W celu uzyskania optymalnego uodpornienia, szczepienia należy rozpocząć w zimnej porze roku. Szczepi się trzykrotnie, drugi raz po 4 tygodniach od pierwszego, trzeci po 9-12 miesiącach. Z obserwacji lekarzy wynika, że obie szczepionki wykazują bardzo dobrą skuteczność. Niestety, szczepienie uodparnia tylko na trzy lata, po tym okresie należy je powtórzyć. W przypadkach ukąszenia przez kleszcza przed upływem czterech dób, pacjentowi można zaaplikować domięśniowo immoglobulinę ludzką FSM Bulin. Uzyskuje się wtedy odporność natychmiastową, trwającą przez sześć tygodni.

Nie ma możliwości

całkowitego zabezpieczenia się przed niektórymi chorobami, przenoszonymi przez kleszcze. Mimo to stosuje się różne sposoby ograniczające to niebezpieczeństwo do minimum.

Przed wybraniem się do miejsc, gdzie kleszcze bytują, dobrze jest zażyć dużą ilość (ale bez przesady!) witaminy B2, której przykry zapach, wydzielany przez skórę, skutecznie odstrasza nie tylko kleszcze, ale i komary. W aptekach i drogeriach pojawiają się ostatnio różne preparaty odstraszające stawonogi i owady krwiopijne, które również warto zastosować. Nie należy też zapominać o włożeniu odpowiedniego ubrania, utrudniającego pasożytom dostęp do ciała (obcisłe spodnie, skarpety na wierzch, koszula z długimi rękawami, nakrycie głowy, wysokie buty).

Po powrocie do domu należy dokładnie obejrzeć powierzchnię skóry (szczególnie na głowie, w okolicach zgięć dużych stawów, na nogach i pośladkach) i w przypadku stwierdzenia obecności kleszcza natychmiast go usunąć, aby uniemożliwić wprowadzenie dużej ilości zarazków do krwi. Sposobów pozbycia się tego intruza jest kilka. Jedni stosują przypalanie odwłoka zapałką lub papierosem, inni twierdzą, że dobry efekt daje kapnięcie na kleszcza kroplą terpentyny, benzyny, nafty lub posmarowanie go eterem. Ostatnio zauważono, że kleszcze giną w ciągu 5-8 minut po zetknięciu się z fitoncydami (lotne substancje wydzielane przez różne gatunki roślin) soku czosnkowego. Niektórzy zaś mają przekonanie do sposobu polegającego na pozbawieniu kleszcza dopływu powietrza. Zatkanie pasożytowi otworu oddechowego przez posmarowanie go jakimkolwiek tłuszczem (wazelina, oliwa, masło, krem) czy też lakierem do paznokci lub włosów, powoduje, że ten sam się odrywa. Lekarze jednak przestrzegają przed takim traktowaniem kleszcza, twierdząc, że pasożyt ten przed uduszenien wydziela dużą ilość śliny z drobnoustrojami chorobowymi i bezpieczniej jest wyjąć go np. pincetą (prostym ruchem) nie uszkadzając. Miejsce po ukłuciu trzeba zdezynfekować. Należy jednak pamiętać, że przy głębokim wejściu kleszcza w skórę przy wyciąganiu najczęściej go rozrywamy. W rezultacie — w naszym ciele pozostają części, powodujące stany zapalne, zdarza się, że zachodzi nawet konieczność interwencji chirurgicznej. Nie jest wskazane odrywanie kleszcza ręką — grozi to rozniesieniem trujących substancji po skórze.

Piotr Bajko

Fot. Archiwum

Michał Szachowicz

Krwawa noc

— Co ty jeszcze robisz w moim domu? Zaraz się stąd wynoś, żeby moje oczy więcej ciebie nie widziały! — krzyczała na swojego konkubina Antoniego.

— Tak, tak, nie ma dla ciebie miejsca w naszym domu — potakiwał ojciec Barbary, niewidomy, schorowany staruszek.

Tosiek dłużej nie wytrzymał. Poderwał się i walnął Barbarę z całej siły pięścią w twarz. Zachwiała się i upadła. Chciał doskoczyć i kopnąć nogą w brzuch, ale na pomoc córce pospieszyli rodzice i próbowali ją sobą zasłonić.

— Mam już tego dosyć — wrzeszczał rozwścieczony „zięć". — Wyrżnę was wszystkich włącznie z tym bachorem — wskazał na własnego siedmioletniego synka i chwycił leżący na stole nóż.

Najpierw zamierzył się na Włodzimierza Pawluczuka — swego niedoszłego teścia. Przerażonej i chwiejącej się na nogach Barbarze udało się jednak jakimś cudem wytrącić go z rąk Antoniego. To doprowadziło go do jeszcze większej furii. Chwycił stojący obok dębowy taboret i z całej siły uderzył nim zniedołężniałego starca. Włodzimierz przez moment zachwiał się, stracił przytomność i jak skoszony osunął się na podłogę. Wokół głowy zaczęła tworzyć się brunatna kałuża krwi. Antoni, trzymając w ręku nóżkę od taboretu, który rozpadł się pod wpływem uderzenia, walił starego, gdzie popadło, zamierzając się od czasu do czasu na próbujących bronić go domowników.

***

Basia z Tośkiem poznali się przed laty na zabawie. Od razu przypadli sobie go gustu. On — przystojny szatyn, młodszy od Barbary o sześć lat, ona — zgrabna blondynka. Po jakimś czasie oznajmiła Tośkowi, że jest w ciąży. Tosiek nie wyparł się, tak jak często czynili to inni, ale przeciwnie — bardzo się ucieszył. Nie mogli jednak wziąć ślubu, ponieważ Barbara nie miała jeszcze rozwodu z pierwszym mężem. Ale i to nie przeszkadzało Antoniemu. Tosiek pochodził z Wybrzeża, Basia urodziła się w sercu przepięknej puszczy — w Białowieży. Zamieszkali natomiast w Nurcu pod Siemiatyczami, u babki Barbary.

— Tośkowi wcale nie przeszkadzało, że byłam mężatką, a on kawalerem. Nigdy mi z tego powodu nie robił żadnych wyrzutów, nie był zazdrosny o mojego męża, który i tak większość czasu spędzał w więzieniach — wspomina Barbara pierwsze szczęśliwe miesiące.

Urodził się syn. Szaleli z radości i nadali mu imię Krzysio. Byli idealnym małżeństwem. Psuć się wszystko zaczęło gdzieś po roku. Antoni coraz częściej wszczynał awantury bez powodu. Znikał z domu i wracał po kilku dniach pobity i przesiąknięty damskimi perfumami. Barbara nie urządzała mu scen, ale w końcu nie wytrzymała, spakowała rzeczy i, wraz z zaczynającym już chodzić synkiem, zapukała któregoś dnia do rodzinnego domu w Białowieży.

— Wylazł z niego jakiś diabeł — żaliła się przed rodzicami. — początkowo tylko wyzywał mnie i niewinne dziecko. Potem zaczęły się rękoczyny. Kiedyś założył mi na szyję pętlę ze sznurka od żelazka i zawiesił na haku od huśtawki. Wystraszony Krzysiek zaczął krzyczeć. Wtedy w pętlę włożył jeszcze głowę dzieciaka. Podtrzymywałam go ręką, żeby mały się nie udusił. Wyratowali nas sąsiedzi.

Zamieszkała z dzieckiem u rodziców. Po jakimś czasie zjawił się spokorniały Antoni i błagał o przebaczenie. Barbara uwierzyła. Tym razem nie pojechali do babci. Postanowili zmienić środowisko. Ustalili z rodzicami, że Krzysztof, ona i Antoni mogą zamieszkać w ich dwupokojowym mieszkaniu. Przez kilka kolejnych miesięcy trwała rodzinna sielanka.

Przez jakiś czas Tosiek w ogóle nie pił — mówi Barbara. Zarabiał dużo. Uwierzyłam więc, że już nic nas nie może rozdzielić. Ale nie trwało to długo.

Któregoś razu, po imieninach u siostry, zrzucił Barbarę ze schodów. Potłukła się i złamała nos. Wybaczyła mu jednak, bo był wtedy pijany. Tosiek natomiast wcale się nie poprawił. Coraz częściej zaglądał do kieliszka. Przeszkadzała mu ciasnota w domu. Kłócił się z teściami. W końcu wszyscy mieli go dosyć. Gdy bił Barbarę, sprawiał wrażenie, że nie wie co robi. Zupełnie siebie nie kontrolował. Po chwili nagle łagodniał i przepraszał. I wtedy Barbara kategorycznie zdecydowała się go porzucić. Tosiek zamieszkał w przydzielonym mu przez zakład pracy pokoju hotelowym. Od tego czasu widywali się rzadko. Czasami tylko odwiedzał syna. Barbara miała wreszcie spokój.

— Moje szczęście trwało jednak krótko — wspomina. — Do domu nie przychodził, ale za to zaczepiał mnie na ulicy. Żądał, żebym wróciła. Obiecywał poprawę. Kiedy odmawiałam, denerwował się i wyzywał mnie od różnych. Groził, że mnie zabije. Zawsze nosił przy sobie stołowy nóż. Bałam się go panicznie.

***

Antoni otrzymał z zakładu pracy zastępcze mieszkanie. Na umeblowanie wziął pożyczkę w hajnowskim banku. Formalności wymagały obecności dwóch świadków. Wtedy pomyślał o Barbarze. Po dłuższych namowach i przekonywaniach zgodziła się. Drugim poręczycielem był jego kolega z pracy. Po załatwieniu sprawy Antoni zaprosił żyrantów do „Żubrówki".

— Zjedliśmy obiad, i wtedy pojawiła się flaszka — relacjonuje Barbara. Ale Marek, drugi poręczyciel, spieszył się. Umówiliśmy się więc na dalszy ciąg na szesnastą.

Wszyscy zjawili się punktualnie. Doszło jeszcze jakieś znajome małżeństwo.

— Panowała serdeczna atmosfera. Nikt nie był pijany — opowiada Marek. — Pod wieczór, przed naszym rozejściem się, Tosiek zaprosił Baśkę do swojego mieszkania. Ona jednak odmówiła i wtedy to się stało — z całej siły wyciął ją pięścią w twarz, aż spadła z krzesła. Zaczęła się szamotanina. Ktoś wezwał policję. Była ósma wieczorem, kiedy radiowozem odwieziono roztrzęsioną Barbarę do domu. Usiadła na taborecie i płakała. Nawet ucieszyła się, kiedy synek poprosił, aby zaszła do jego chrzestnej matki. Mieszkała po sąsiedzku. Wiedziała, że w takiej sytuacji najlepiej jest przed kimś się wygadać. Rodzicom wszystkiego nie powiesz.

Matka zamknęła za Barbarą drzwi. Była już noc. Wiedziała, że córka ma swój klucz. Zdziwiło ją, kiedy w niespełna pół godziny później ktoś pociągnął za klamkę. Pomyślała, że to córka zapomniała swojego klucza i podreptała otworzyć. Maciek już leżał w łóżku, Włodzimierz wypalał przed snem ostatniego papierosa. W drzwiach jednak zamiast Barbary stał podchmielony Antoni. Pobiegła czym prędzej po córkę. Tosiek usiadł na skrzynce przy piecu i czekał. Włodzimierz nie mógł widzieć jego zachowania, ale przeczuwał, że dzieje się coś niedobrego i dlatego wolał się nie odzywać.

Barbara zjawiła się błyskawicznie i z dziką złością rzuciła się na konkubina.

— Do końca życia nie zapomnę tej nocy — mówi Krzysio. — Mama już od progu zaczęła wydzierać się na tatusia i wyganiać go z domu. Wtedy ją uderzył, aż upadła na stół. Dziadek, słysząc co się dzieje, szedł na pomoc mamie i wtedy dostał taboretem. Ja wrzeszczałem wniebogłosy: „Tatusiu, nie zabijaj! Tatusieczku, nie zabijaj mamy, babci, ani dziadka". Wtedy on: „Schowaj się pod kołdrę, bo inaczej zobaczysz swój mózg na ścianie".

Kiedy Włodzimierz leżał w kałuży krwi, Antoni zdzielił matkę Barbary kilka razy nogą od taboretu. Zdołała jednak uciec i schować się za szafę w pokoju.

— Byłam przerażona i mocno bolały mnie twarz i bok — płacze Barbara. Nie wiedziałam co z ojcem, bo nie dawał żadnych oznak życia. Chciałam do niego podejść, ale zagroził, że udusi mnie gołymi rękoma.

Antoni zaciągnął za włosy Barbarę do tego pokoju, w którym kiedyś mieszkali. Pod kołdrą leżał wystraszony Krzyś, a za szafą stała schowana matka. Kazał Barbarze rozebrać się do naga, a sam poszedł do kuchni.

— Wystraszona zdjęłam wszystko — szlochała Barbara. — Wrócił, ostrząc nóż. Zgasił światło i kazał mi się położyć na brzuch. Sam też się rozebrał i zaczął mnie okładać nóżką od taboretu. Potem wyostrzonym nożem nacinał mi skórę na plecach, pośladkach i udach. Jęczałam z bólu. Potem mnie zgwałcił. Nawet się nie broniłam.

Z kuchni doleciał jakiś szmer. To Włodzimierz odzyskał przytomność. Zaczął czołgać się w kierunku wiadra z wodą. Antoni poszedł do kuchni. Przez okno wpadało światło pobliskiej latarni ulicznej i blask księżyca. Barbara wychyliła się z łóżka. Widziała jak staruszek próbuje wstać, ale kilka silnych uderzeń w głowę tłuczkiem od mięsa ponownie zwaliło go na podłogę. Tym razem ostatecznie. Z ust chlusnęła krew prosto na bose nogi Antoniego. Wytarł je o koszulę leżącego. Kubkiem zaczerpnął z wiadra wody i ugasił pragienie.

Zagroził Barbarze, że i tak ją zabije.

— Ale nie dzisiaj, zbyt dużo radości jak na jeden dzień — powiedział, zaciągając się papierosem. Wystarczy, że załatwiłem tego ślepego i tę starą. Z tobą i z tym bachorem uporam się później — dodał.

Krzysiek dobrze słyszał te słowa, ale udawał martwego. Zbliżała się siódma rano.

— Nie spałem całą noc — mówi Krzysiek. — Słyszałem jak tatuś wstał i kazał wstawać mnie. Poszedł do kuchni. Tam zaczął płakać. Zaproponował mamie, aby oba ciała — dziadka i babci (nie wiedział, że babcia żyje) schować do tapczanu stojącego w komórce. Mama tylko płakała i zmywała z podłogi krew. Tato nerwowo zaczął szukać sznurka. Chciał się wieszać. W końcu podszedł do mnie do łóżka i powiedział: „Synku, ja już więcej ciebie nie zobaczę".

Wyszedł. Poprosił Barbarę, aby przez dwie godziny nie powiadamiała nikogo. Tego samego dnia wyjechał na Wybrzeże, do matki.

— Byłam nieco zdziwiona jego przyjazdem — zeznaje matka Antoniego. — Nie poznałam jednak po nim, aby coś przeżywał. Był spokojny, opanowany. Zapytał tylko, czy może u mnie zamieszkać i przywieźć swoje rzeczy. Zgodziłam się. Ale następnego dnia zdecydował, że wyjedzie.

Po pięciu dniach od zabójstwa został aresztowany na dworcu PKS w Siemiatyczach. Podczas przesłuchania od razu przyznał się do winy. Swoje zeznania przerywał częstymi wybuchami płaczu.

— Nie była to wcale moja wina — zeznał. — Zło, które się stało w dużej mierze spowodowała Barbara. Wtedy prosiłem tylko o spokojną rozmowę, a ona rzuciła się na mnie. Wkurzyłem się. Dalej nie pamiętam. Doszedłem do siebie dopiero rano, kiedy zobaczyłem, że Barbara jest mocno pobita, a w kuchni leży trup Włodzimierza.

Antoni przeszedł badania psychiatryczne. Nie stwierdzono u niego objawów choroby ani niedorozwoju umysłowego. Prokuratura oskarżyła go o pozbawienie życia Włodzimierza P., doprowadzenie swojej konkubiny przemocą do poddania się czynowi nierządnemu, silne pobicie Eugenii P. oraz ciągłe znęcanie się nad Barbarą.

Michał Szachowicz

Jaki „Czasopis"?

W kwietniowym numerze opublikowaliśmy ankietę z pytaniami o ocenę pisma i prośbą o rady i wskazówki dla redakcji. Badania opinii czytelników na obecnym rynku prasowym w Polsce za pomocą ankiet drukowanych w gazetach zawodzą. Nawet wysokonakładowe dzienniki i tygodniki zrezygnowały z takich metod, gdyż odzew jest stosunkowo niewielki. Nie pomaga nawet opłacanie przez wydawców kosztów przesyłek pocztowych i fundowanie cennych nagród. Cóż, takie czasy. Potwierdziło się to także w naszym przypadku. Tym większe podziękowania należą się trzydziestu czytelnikom, którzy nadesłali wypełnione ankiety. Drugie tyle odpowiedzi zebraliśmy osobiście, jako ankieterzy.

Z ankiet wynika, że większość naszych czytelników stanowią osoby w wieku 18-40 lat, posiadające wykształcenie średnie lub wyższe, mieszkające w miastach. Przeważają mężczyźni (ok. 60 proc.). 90 proc. ankietowanych podało narodowość białoruską i wyznanie prawosławne. Jednocześnie jako język, w którym rozmawiają w domu, podali polski, albo polski i białoruski (lub dialekty języka białoruskiego). Wśród innych gazet, które czytają, ponad 70 proc. wymieniło „Przegląd Prawosławny", nieco mniej „Niwę". Nikt z ankietowanych nie podał, że w miarę systematycznie czyta prasę regionalną. Wśród czasopism ogólnopolskich najczęściej pojawiały się „Gazeta Wyborcza", „Rzeczpospolita", „Nie", „Polityka" i „Wprost".

Wszyscy ankietowani czytają „Czasopis" systematycznie albo raczej systematycznie. 60 proc. z nich zaznaczyło, że czyta kolejne numery w całości, pozostali — tylko teksty w języku polskim. Prawie wszystkie rubryki są czytane systematycznie. Najmniej popularne są krzyżówki. Jako najbardziej poczytnych autorów podawano niemal wszystkie nazwiska z naszej stopki redakcyjnej. Najczęściej wskazywano na Dorotę i Jerzego Sulżyków, Jerzego Chmielewskiego, Jerzego Kalinę i Mikołaja Hajduka. Wśród publikacji z ostatnich dwóch lat największą uwagę zwrócił cykl artykułów o zbrodniach polskiego podziemia po zakończeniu II wojny światowej na mieszkańcach białoruskich wsi na Białostocczyźnie. Tak odpowiadali jednak raczej czytelnicy starsi, powyżej 40 roku życia. Pozostali nie wypełniali rubryki, albo podawali takie artykuły, jak telewizyjny wywiad z Sokratem Janowiczem i Leonem Tarasewiczem, „Białoruskie wesele", „Był sobie dwór".

Niemal wszyscy respondenci orientację społeczno-polityczną „Czasopisu"

określili jako demokratyczną, nieliczni podawali narodową. W takim też stopniu oceniono, że treść pisma jest najczęściej obiektywna.

Jako największe wady i niedostatki wskazywano: zbyt mało tekstów o tematyce młodzieżowej, wąski krąg autorów, nazbyt dużą aktywność polityczną. Z tych względów radzono więcej pisać o dzisiejszym życiu regionu, problemach młodzieży, muzyce rockowej i powszechnie znanych osobach z naszego środowiska. Większość autorów nadesłanych ankiet nie miała większych zarzutów wobec pisma, twierdząc że „Czasopis" jest coraz lepszy i ciekawszy.

Nadesłane ankiety przybliżyły obraz naszych czytelników, co pomoże nam przygotowywać kolejne numery tak, aby były one ciekawe i pożyteczne. Większość wskazówek wykorzystamy. Niektóre z proponowanych tematów — o młodzieży, humor — już się pojawiły. Poszerzenie formuły pisma o problemy ogólnospołeczne i tematy dotyczące Wschodu zostały zaakceptowane i je realizujemy. Uważamy jednak, że „Czasopis" swoją orientację już wypracował, więc radykalnych zmian nie przewidujemy. Proporcję między ilością tekstów białoruskojęzycznych i polskojęzycznych — zgodnie z sugestią czytelników — pozostawimy na dotychczasowym poziomie.

Chociaż układ typograficzny oceniono jako przejrzysty i wyraźny, to jednak wskazywano na jego monotonność. Postaramy się to uwzględnić w zmodyfikowanej szacie graficznej, nad którą już pracujemy. Jej wprowadzenie będzie jednak zależało od możliwości finansowych i technicznych redakcji. Liczymy, że uda nam się to zrealizować najwcześniej na początku przyszłego roku.

Jerzy Chmielewski

Wśród autorów nadesłanych ankiet rozlosowaliśmy książki i kasety z nagraniami piosenek białoruskich. Otrzymują je: Tamara Bielkiewicz z Czyż, Eugeniusz Czykwin z Białegostoku, Jan Niczyporuk z Bielska Podlaskiego i Michał Bołtryk z Otwocka. Nagrody do odebrania w redakcji.



Fot. Leon Tarasewicz

Podsumowanie ankiety Radia Białystok



Fot. Jerzy Osiennik

Razem z ankietą „Czasopisu" zamieściliśmy pytania, z którymi do swoich słuchaczy zwróciła się redakcja białoruska Radia Białystok. Nasi radiowi koledzy, dysponujący większymi możliwościami, przeprowadzili badania słuchalności i oceny swoich audycji z dużym rozmachem. Własne ankiety opublikowali też w „Niwie", „Przeglądzie Prawosławnym" oraz wielokrotnie informowali o tym na antenie. Aby zachęcić słuchaczy, ufundowali atrakcyjne nagrody. Odzew był jednak niewielki. Z „Czasopisu" dotarło 10 ankiet, trochę mniej z „Niwy", a z „Przeglądu Prawosławnego" tylko dwie. Redaktorzy rozesłali więc 100 kwestionariuszy do urzędów gmin, domów kultury, sołtysów, dołączając kopertę ze znaczkiem. W ten sposób uzyskali ok. 70 odpowiedzi, czyli razem ponad 80.

Wyniki

36 proc. osób, które odpowiedziały na ankietę, mieszka na wsi, 32 proc. w Białymstoku i tyleż w innych miastach. 43 proc. pracuje zawodowo, 23 proc. to emeryci, 25 proc. studiuje lub uczy się. Tylko 11 proc. jako zawód podało — rolnik.

Połowa respondentów słucha audycji codziennie, 30 proc. tylko w niedzielę, 40 proc. w sobotę i niedzielę, zaś 20 proc. okazjonalnie.

Jakość odbioru w 80 proc. jest dobra. Godziny nadawania są odpowiednie, z wyjątkiem niedziel (dla 30-40 proc. ankietowanych).

Tematyka poruszana w audycjach na ogół oceniana jest dobrze (4 w skali od 1 do 5). Najlepiej oceniane są formy reportażowe z Białostocczyzny, nieco gorzej z Białorusi. Słuchaczy zadowalają prezentacje zespołów muzycznych i tematyka wiejsko-gminna. Zdecydowanie za mało jest telefonicznych rozmów ze słuchaczami. Tematyka historyczna, oświatowa, a także młodzieżowa nie jest usystematyzowana. Słabo zostały ocenione korespondencje z Grodna i audycje wtorkowe („Dla szkoły i dla domu").

Prezentowana w audycjach muzyka białoruska uzyskała ocenę 3,5. Niemal wszyscy respondenci jako główny mankament wskazali skracanie, wyciszanie i nadawanie piosenek we fragmentach. Niestety tego problemu w obecnym wymiarze czasowym audycji nie da się rozwiązać. Piosenek, szczególnie tych dłuższych (ponad 4 minuty) nie można prezentować w całości, gdyż zajęłyby zbyt dużo z piętnastu, a w rzeczywistości czternastu, minut trwania audycji.

Ankietowani najwyżej ocenili muzykę folklorystyczną, z zastrzeżeniem, że powinna być dobra jakościowo. Równie dobrze ocenili piosenki disco polo, ale te dwa typy otrzymały jednocześnie najwięcej ocen zerowych. Za mało jest muzyki rockowej i współczesnej estrady. Zbyt często prezentuje się te same piosenki i tych samych wykonawców. Utworom w języku nie białoruskim słuchacze są zdecydowanie przeciwni, z wyjątkiem podkładów ilustracyjnych (np. muzyka jidisz w materiale o Żydach). Wskazywano na konieczność cyklicznej audycji muzycznej — raz w tygodniu, albo częściej — przygotowywanej przez specjalistów lub przy ich współpracy.

Respondenci zwracali uwagę, aby prowadzący mówili czystym literackim językiem białoruskim, bez dialektyzmów, polonizmów i innych zapożyczeń. Wykorzystywanie dialektów w audycjach

winno mieć umiar. Były też głosy (nieliczne), aby prowadzący, będąc w terenie, z ludźmi rozmawiali ich dialektem.

W ankietach proponowano ustanowienie stałego serwisu informacyjnego, poczynając od tego, co wydarzyło się w danej gminie, np. na sesji rady gminy, poprzez wiadomości o tym, co i gdzie pisano o sprawach białoruskich, po zaproszenia na imprezy i uroczystości (ale bez natrętnego powtarzania, że „na festynie tam i tam wystąpi ten i ten i będzie to i to"). Respondenci podkreślali, że audycje, oprócz informowania i opisywania wydarzeń, muszą też pełnić rolę edukacyjną, propagować pozytywne postawy itp. Stąd propozycje, by redagować cykliczne audycje dla szkół, nadawać lekcje języka białoruskiego, historii, biznesu, a także porady lekarskie, rolnicze, kulturalne i domowe.

Aby sprostać życzeniom słuchaczy, należałoby zwiększyć czas audycji, bo przy obecnym ich wymiarze nie jest możliwe ani zaprezentowanie danego problemu w sposób wyczerpujący, ani prezentowanie piosenek w całości, by nie naruszyć proporcji w stosunku do całej treści.

Audycje w języku białoruskim powinny być integralną częścią programu Radia Białystok, a nie zamkniętym gettem, o którym nie informuje się w innych audycjach. O ile w zapowiedziach na antenie często zachęca się na przykład do wysłuchania „Magazynu Kresowego", to nigdy nie było zaproszenia do audycji „Pad Znakam Pahoni".

Wyniki opracował
red. Jerzy Leszczyński

Przypominamy, że trwa nasz konkurs pt.

„Białoruskie pejzaże"

I. Na konkurs należy nadsyłać reportaże z terenów wschodniej Białostocczyzny, obrazujące życie tamtejszej społeczności białoruskiej.

II. Prace powinny być dostarczone do 15 października br. do redakcji „Czasopisu".

III. Za najlepsze prace zostaną przyznane nagrody:
I — 1 500 zł
II — 1 000 zł
III — 500 zł

IV. Pełny regulamin został wydrukowany w czerwcowym numerze „Czasopisu".

Sprostowanie

Do artykułu Jerzego Osiennika pt. „Uczta duchowa" („Czasopis" 6/96) zakradły się dwie pomyłki. W wypowiedzi o. Jerzego Szurbaka zamiast sformułowania „lot głosu" powinno być „kult głosu". Natomiast chór „Kijów" z Ukrainy wykonywał kanon Eucharystyczny z Epiklezą, a nie Epiktetem — jak wydrukowaliśmy — w partii solowej. W tekście tego samego autora pt. „Бельліцэї" wypowiadała się nie Іаанна Нікіцюк, ale Ян Нікіцюк. Autora, zainteresowane osoby i Czytelników serdecznie przepraszamy.

Redakcja

HUMOR ZE WSCHODU

Polak, Francuz i Białorusin trafili na bezludną wyspę. Jakiś czas tam żyli, opalali się. Aż któregoś dnia do brzegu wyspy podpłynęła butelka. Gdy rozbitkowie ją otworzyli, ze środka wyskoczył dżinn i mówi:

— Uwolniliście mnie, dlatego spełnię po dwa wasze życzenia.

Polak pierwszy się ucieszył i rzekł:

— Worek pieniędzy i do domu.

Dżinn spełnił te życzenia.

Ucieszył się też Francuz:

— Tuzin kobiet i do domu.

Jego życzenia dżinn również spełnił.

Na wyspie pozostał tylko Białorusin. Zasmucił się, chwilę pomyślał i mówi:

— Ech, dobrzy z nich byli kompani. Dawaj, dżinnie, skrzynkę wódki i ich z powrotem.

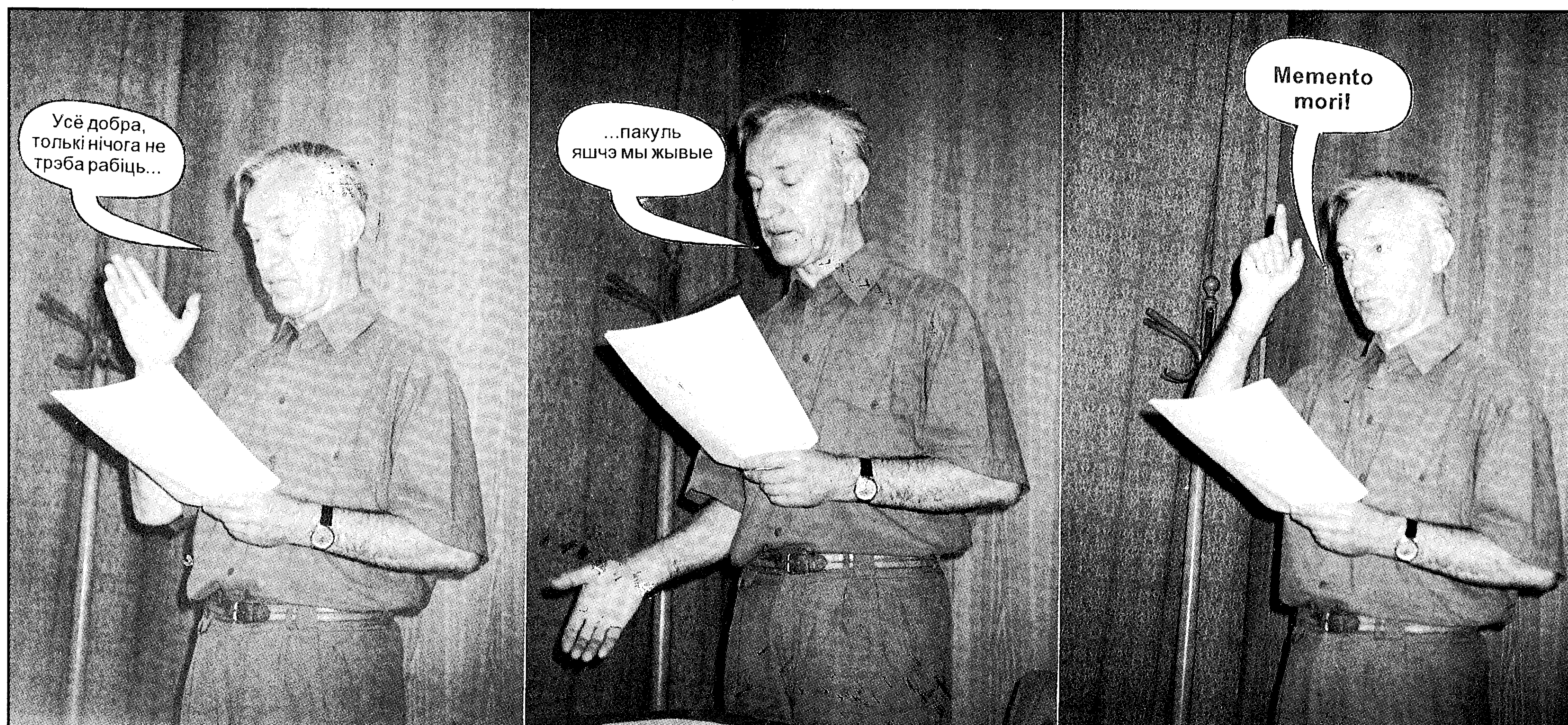
Amerykanin chwali się przed Rosjaninem:

— Kiedy archeolodzy odkopali u nas osadę z XVIII wieku, znaleźli kawałki kabla. To dowodzi, że łączność przewodowa istniała tam już wtedy.

Na to Rosjanin:

— A u nas niczego nie znaleźli, co dowodzi istnienia łączności bezprzewodowej.

■ НАШЫ АЎТАРЫ — ЯН ЧЫКВІН



Лёнік & Хмялько

ХРОНІКА

МЯСЦОВАСЦІ



Мал. Яраслава Якімчука

ГРЭДЭЛІЕ — ШПІТАЛІЕ

Наўзбоч старажытнага тракту, што вядзе ў Бярэсце, над невялічкай яшчэ тут ракой Белай, каля 500 гадоў існуе ўжо вёска Грэдэліе.

У II палове XV ст. прадпрымальны млынар Філіп Грэдэль (Рэдэль?) атрымаў немалы надзел зямлі ў Бельскім старастве, паўз рэчкі Белай. Неўзабаве новы ўласнік перагарадзіў раку грэбляй і ў гэтым месцы пабудаваў млын. Ягоныя сыны Хведар, Васіль і Ходка асталіся працаваць на бацькавай зямлі, прычым яе частку прадалі Міхалу Богушу Багавітыновічу, уладальніку Орлі. Такім чынам, у 1522 г., узнікла вёска Кошкі.

Бельскаму намесніку Грышку Кінбаровічу не даспадобы былі паводзіны братоў Грэдэлёў. Таму ў траўні 1522 г. паслаў ён сваіх слуг, каб адабралі ад Багавітыновіча купленую ім зямлю. У 1562 г. Анна з Багавітыновічаў скардзілася на „зруйнаванне межаў паміж Кушкамі і Грэдэлямі”.

У даўгу не асталіся таксама суседзі. У 1576 г. „грэдэлёўцы”, якія гаспадарылі на 32 валоках зямлі, скардзіліся каралеўскім ураднікам, што князь слуцкі (тадышні ўласнік Орлі) ды іншыя ўладальнікі адбіраюць ім зямлю, а каралеўская конніца выядае іхнюю „пашню”.

У 1582 г. каралева Анна Ягелонка надзяліла шпітальпрытулак, які існаваў пры Міхайлаўскай царкве, чатырма валокамі зямлі з Грэдэлёў. На гэтай зямлі пачало гаспадарыць некалькі гаспадароў, а гэтая частка вёскі пачала называцца Шпіталіе. Да 1650 г. Шпіталіе разраслася да 12 дамоў, затое ў 1759 г. пражывала там усяго шэсць гаспадароў: Шурбак, Калеш, Куц, Наўмюк, Дэнісюк, Супрунюк. Яны плацілі царкоўнаму прытулку арэндную плату ды паставлялі харчы. Астатнія жыхары Грэдэлёў адраблялі паншчыну ў галавескім фальварку.

У 1915 г. усе жыхары падаліся ў бежанства. Пасля вяртання, у 1925 г., у вёсцы пражывала 350 асоб. Пасля II сусветнай вайны, у 1945—1945 гг., у час рэпатрыяцыі з Грэдэлёў выехала 80 жыхароў. У іх ліку апынуўся Серафім Андраюк, які пасля стаў галоўным рэдактарам выдавецтва „Мастацкая літаратура” ў Мінску.

Не выехалі багацейшыя гаспадары, млынары (у вёсцы было два ветракі). Засталіся набожныя людзі, якія ў 1993 г. пабудавалі прыгожую драўляную каплічку, у якой моляцца да св. Юрыя.

Мікола Сахарэвіч